

287314

nie dobieć

SZATAN

I

KOBIETA

FANTAZJA DRAMATYCZNA

W XI NOCACH

PRZEZ

J. I. KRASZEWSZIEGO.



WILNO.

NAKLAD I Druk
TEOFILA GLÜCKSBERGA

KSIĘGARZA I TYPOGRAFA WILEŃSKIEJ CESARSKIEJ MED.
CHIR. AKAD. I SZKÓŁ BIAŁORUSKIEGO NAUKOWEGO WYDZIAŁU.

1841.

42/022 K

WATAS
I
ATEISON
WATAS

Pozwolono drukować pod warunkiem złożenia po wydrukowaniu egzemplarzy prawem przepisanych w Komitecie Cenzury. Wilno 1840 r. 17 Października.

Cenzor, *Professor b. Uniwersytetu Wileńskiego,*
JAN WASZKIEWICZ.



287314

WILNO

H. 859/57

SZATAN

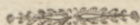
I

KOBIETA.



OSOBY.

LUCYFER.
MEFISTOFILIS.
ASTAROTH.
SZATAN.
DZIEWCZYNA ANIELA.
CHŁOPIEC ALEKSY.
ANIOŁ SNÓW,
ŚMIERĆ.
BABA,
FILOZOF,
KRALKA ŻOLEDNA,
PAN FIL.
HRABIA,
STAŚ.
GŁOS PIERWSZY,
GŁOS DRUGI,
GŁOS TRZECI.
GŁOS Z GÓRY.
CZAROWNICA.
UPIOR.
ŻYD FAKTOR,
DOKTOR.
POETA,
CHÓR.



PROLOG W PIEKLE.

LUCYFER, MEFISTOFILIS, ASTAROTH.

LUCYFER.

Niechaj po piekle ogłoszą,
Że jestem w dobrym humorze;
Niech wszyscy o co chcą proszą,
Každy ze mną mówić może.

MEFISTOFILIS.

Dobry humor jest skutkiem dobrego trawienia,
A dobra strawność idzie za dobrym humorem —
Każę oświecić gazem piekielne sklepienia,
I drzwi wielkiej otchłani zostawić otworem.

(wychodzi)

LUCYFER do *Astarotha*.

Dla zabawy niechaj mi sprowadzą Woltera,
Macchiavela, Boccacio, Skarona warjata,
Rabelego i wszystkich co drwili ze świata.
A których dobry humor i tu nie umiera.

Będą mi wprawdzie, prawie oklepane dzieje,
 Lecz kiedy się świat stary, tyle lat z nich śmieje,
 Kiedy tak długo wielbią ich na ziemi,
 Mogę i ja ich słuchać i bawić się niemi.

*(Mefistofilis powraca, a za nim bisy, czarci,
 szatani, diabli, potępiency czarownicy, czarowni-
 ce, wiedźmy, upiory, wilkotaki i t. d.)*

MEFISTOFILIS.

Jak kazałeś tak się stało,
 Po całym piekle zabrzmiało,
 Że dzisiaj! łaskawy Panie,
 Dajesz wielkie posłuchanie.
 Wszyscy się cisną i cieszą,
 I na skinienie twe śpieszą.
 Ciżba leci nieprzebrana,
 Ugiąć przed tobą kolana.

LUCYFER.

Nie chcę przed ważną posłuchania sprawą,
 Żadną się zająć zabawą,
 Niechaj wystąpią przed zgrają,
 Ci, co do mnie proźby mają.

(Tłum się porusza, jeden z szatanów występuje)

MEFISTOFILIS.

Dozwolisz panie, zacząć temu szatanowi,
 Gorliwość jego tak mu głowę piecze,
 Że jeśli prędko swój proźby nie powie,
 Bez twego pozwolenia, sam z piekła uciecze.

LUCYFER.

Mów.

SZATAN.

Panie! na dnie piekła gniję!
 Talenta moje w zapomnieniu giną,
 Lada szatan po świecie kręci się i wije,
 Nie jeden jest ci wstydu i straty przyczyną.
 Bez gorliwości, zapalu,
 Głupio, ostróżnie, pomału,
 Z ludźmi bez żadnej wprawy się obchodzą,
 Stu z nich probują, żadnego nie zwodzą.
 A świat który po czynach zdanie swoje mierzy,
 Teraz śmieje się z diabła i w piekło nie wierzy.

My zaś co żądzą szlachetną pałamy,
 By piekiel dawną potęgę utrzymać,
 Nic do roboty nie mamy.

Każą nam siedzieć i drzémać.

.
 W piekle z założonemi usiadłem rękami,
 A wstyd mię pali, zapal piersi gniecie!
 Tyle myśli zebranych długimi latami,
 Wśród nieczynności przepada!
 Panie! sameś rozumny niepotrzebna rada,
 Ale chciej prośby posłuchać pokornej,
 Użyj mnie tylko — zobaczysz co zrobię —
 Jak będę chytry, przebiegły, przezorny —
 Ile to ja dusz dam tobie!

LUCYFER.

Do czego jesteś zdolny?

SZATAN.

Do wszystkiego panie!

LUCYFER.

Angielską dumą traci to gadanie;

Lecz tu nie Anglja —

SZATAN.

O ja się nie boję!

Gdzie chcesz mnie użyj, bylebyś chciał użyć,

Lepiej na karę niż wzgardę zasłużyć —

Czy rozruch jaki chcesz zrobić na świecie,

Czy kogo natchnąć by pisał twym duchem

A lud go słuchał jak dziecko,

Z otwartem sercem i uchem.

Czy w kim ich cnoty pozorem ułudzić,

I pod suknią pokory dumę kazać ludom,

Czy rozgrzać do występku, do cnoty ostudzić,

Przypisując ją śmiesznym ciemnoty obłudom,

Czy kogo chęcią sławy najać i opętać,

By sfalszował im dzieje, oplamił ich dziady,

I żeby fałszywemi ztropieni przykłady,

W przeszłości swój nie mogli starych cnot pamiętać.

Czy duszę xiędza, mocarza, poety,

Czy polityka, kobiety,

Czy — kogo tylko chcesz panie,

Na twoją przysięgam brodę.

Związanego ci przywiodeę.

Rozkazuj — i wnet się stanie ;

Spróbuj —

LUCYFER.

Spróbuję. Ty Mefistofilu,

Coś skusił tyle i takich i tylu,

Powiedz jaka będzie próba ?

MEFISTOFILIS.

Panie!! co ci się podoba!

Lecz żeby spędził ochotę,

Dać trzeba ciężką robotę.

LUCYFER.

Nie! niech od łatwych zaczyna:

Znajdzie się jaka dziewczyna,

I tego głupia i bardzo enotliwa —

SZATAN.

Czyż się to próbą nazywa!

Teraz na ziemi z enoty kobiecej żartują,

W książkach z niej szydą, na świecie nią gardzą,

Starym ją, śmiesznym przesądem mianują.

Prawdziwie, panie, boli mnie to bardzo,

Że rzecz tak błahą — chcesz mnie! mnie! powierzyć!

Mnie, co bym wielkie *coup* mógł wraz uderzyć.

Ah! do kobiet wstyd się już i wdawać szatanom —

LUCYFER.

Lecz nie wszystkim narodom i nie wszystkim stanom
Wspólne dzisiejsze zdania. Pójdiesz w dziką stronę
Gdzie nowości nie doszły. Koło dzikiej enoty —
Na próbę — dosyć będziesz miał roboty.
Idź! ważniejsze poselstwo otrzymasz w nagrodę.

SZATAN.

Idę — lecę — za jedną dziesięć ci przywiode!

NOC PIERWSZA

Chatka uboga — Noc.

ANIOŁ ŚNÓW (*leci*).

Ustapcie przede mną,
Ja lecę w noc ciemną,
Sny słodkie przynoszę —
Marzenia, rokosze!
A czyja powieka
Łzę błyska zdaleka,
I czyja pierś zcięcha,
Pod ciężar ciężarem,
Choć przez sen a wzdycha —
Ja lecę z nektarem,
Na chwilę go poję,
Nim ranek obudzi
I brzemień znów swoje
Poniesie wśród ludzi.

Śpij długo, śpij człeczko!
 Błądź myśli daleka,
 Noc prędko uciecze —
 Cierpienie znów czeka!

(*leci*)

Oto dziewicy łóžeczko —
 A nad nięm krzyż święty,
 I wianek przypięty!
 O! śpij mi dzieweczko,
 Błądź myślą w niebiosach,
 Przy łoku lubego —
 Marzenia ubiegą,
 Ty niewiesz o losach!
 A jutro — o! Boże —
 Twój luby młodzieniec,
 Opuścić cię może —
 I uschnie twój wieniec,
 Nadzieje przepadną,
 I lica pobladną,
 I serce się ścisnie
 Z rozpaczy, z żałości —
 A z oczu wytryśnie
 Łza żalu przeszłości!
 Śpij siostrzyczko jak najdłużej —
 Póki ci oczy sen mruży —

Póki łąą zlane powieki,
 Nie otworzą się na wicki
 Patrząc na ziemię z nadziei okwitła —
 Śpij długo dziewczeczko,
 Na twoje łóżeczko,
 Sypię sny różane,
 Jak wiek twój dzieciune,
 I jeszcze niewinne
 I łzami nie zlane.

Śpij słodko — śpij długo —
 Sny dłonią narzucam ci hojną!

I w życiu choć drugą,

Choć drugą spokojną —

Miej jeszcze niewinne dziecię —

Noc taką na świecie!

Śpij!

SZATAN (z drugiej strony nad śpiącą).

Nie, nie śpij dziewczyno!

Czy słyszysz? ktoś puka?

Ktoś późną godziną —

Ktoś ciebie tu szuka.

Obudź się! dziewczyno —

Twój luby tam wzdycha!

O! wychodź doń zcicha,

Bo chwile przeminą,

Bo słońce zaświeci,
I kogut zapieje,
I ranek przyleci.
Już dnieje! o! dnieje!

(po chwili)

A znasz ty dziewczyno tę roskosz niebieską.
Ten ogień uścisków, ten pożar pieśczo-ty —
O! warto nie jedną okupić go lezką —
Bo jeden jest tylko młodości wiek złoty —
Raz tylko roskosz przychodzi
A zawsze pora do cnoty,
Czy ludzie starzy, czy młodzi!
Obudź się dziewczyno — on czeka, noc cicha —
I roskosz tak miła wśród ciszy —!
Obudź się, on biedny u progu tam wzdycha —
I nikt was nie z oczy i nikt was nie słyszy.

ANIOŁ.

Precz ztąd szatanie!

SZATAN.

A! któż to? wy! kłaniam nizko —
Lecz zkadże to panowanie?
Wieżliście w moje siedlisko
Najjaśniejszy panie —
Niewiem wcale po co —
Taką późną, ciemną nocą —?

ANIOŁ.

Czuwać nad cnotą.

SZATAN.

Na co to staranie!

Ja tu rok czuwam i zaręczyć mogę —

Że się nic złego nie stanie —

Dobłą jej pokaże drogę —

ANIOŁ.

W otchłanie.

SZATAN.

Ale jaką! jaką drogą!

Przez łąy, umartwienia, żale,

Nie miło to iść wcale,

Choć w niebo prowadzić mogą —

A ja przez ciągłe wesele —

Miękki słodki gościniec tak wygodnie ściele.

Do piekła! prawda! — Lecz czyż moja wina,

Że taka zła do nieba prowadzi dróżyna?

Každy nie pytając drogi,

Tam idzie lepiej, gdzie mięcej na nogi.

Widzę jakbyś się gniewał mój aniele —

No! no — zróbmy z sobą zgodę —

Ludzi tak wiele;

Zostaw mi to dziewczę młode!

Idź ztąd! tam tak dobrze w niebie —

Idź aniołku, proszę ciebie —

Przysiągłem Lucyferowi —

Na com przysiągł, zrobić muszę —

A co on na to powie,

Jak mi wyrwiesz tę duszę?

Dwie inne w zamianę,

Przyniosę, dostanę,

Od piekła odkreczę

I oddam ci w ręce.

Lecz jak mnie kochasz, tego nie rób przecie —

Byś bałamucił to dziecię.

Ty nam figle płatasz często!

A w niebie już i tak gęsto,

Co wam jedna dusza doda,

Jeszcze taka mała, młoda,

Niech mi pan jój nie odbiera,

Bo na zawsze zaufanie

Utracę u Lucyfera.

Idź proszę cię — idź mój panie!

Idź sobie gdzie do starych co w grzechach po szyję,

Bładami usty twojej wzywają opieki.

Ot tam! Czy słyszysz jak ktoś cienko wyje?

A tam — drugi głos daleki!

Śpieszcie się mój aniele —

Czas krótki, robot wiele —

Zresztą, pod stopy się ścielę —

(Anioł leci)

A żeby kto nie przeszkodził,
 Pójdę jeszcze usnąć siugi.
 I ojcę nogi zwiążę, żeby nie wychodził —
 We śnie mu spuszczę w ręce złote strugi —
 Zyska przynajmniej na tém
 Że nim się stary obudzi,
 Będzie najszczęśliwszym z ludzi,
 Wielkim, znaczącym, bogatym!

Koguta, który rano wszystkich w domu płoszy
 Wsadzę do pani kokoszy —
 Pozamykam okiennice,
 Potém drzwi tylne otworzę.
 I już trzymam dziewczę,
 Już się wymknąć nie może —
 Ts! idzie — siadam na warcie!
 Lecz dziewczyna; śpi uparcie!

(*Chłopicz wchodzi do chatki.*)

CHŁOPIEC *cicho.*

Spisz?

DZIEWCZYNA *budzając się.*

Kto tu?

CHŁOPIEC.

Ja.

DZIEWCZYNA *porywając się.*

Ty? w tej porze?

Cóż to jest? pożar! umarł kto? o Boże!

Coż się stało? co strasznego?

CHEOPIEC.

Nic — nic — przyszedłem...

DZIEWCZYNA.

Lecz po co? dla czego?

CHEOPIEC.

Uścikać ciebie luba — i nim dzień zablýśnie,
Być z tobą w niebie!

(Szatan w końcu głową kiwa).

Tak! w rozkoszy niebie!

Ten ciężar smutku co mi piersi ciśnie —
Przyszedłem rzucić, przyszedłem do ciebie —
Oddać się tobie — słyszysz moje życie,
Krwi mojej wrzenie, serca mego bicie?
Widzisz te oczy iskrzące, zapadłe,
Twarz łzami zlaną i lica pobladłe —
Wszystko to zniknie i łzy i boleści,
Jeden twój uścisk, utuli, zagłuszy —
Dłoń twoja rozpacz rozjadła upieści,
A pocałunkiem zaświecisz mój duszy —
Bo dotąd luba — za tę miłość moją,
Nagrodą tylko te łzy co mnie poją.

DZIEWCZYNA.

Na coś mnie zbudził! usypiać tak miło,
Cóż niebieskiego długo mi się śniło,

Jakiś sen słodki miałem o tój dobie,
 Śniłam o ojcu, o matce, o tobie,
 A anioł jakiś ze złotemi włosy,
 Nad nami czworgiem zawieszał niebiosy.
 I pod tём niebem było nam tak mile!
 A to widzenie niby wieczność trwało —
 Jakby wiek długi w jedną zbitą chwilę,
 Jakby dwa życia. A jeszcze za mało!
 Tyś mi sen przerwał skargą i żalami,
 Teraz i ja już ból czuję —
 Zmówmy modlitwę, a Bóg się nad nami,
 Bóg się nad nami zlituje.

CHEOPIEC.

Lecz Bóg i tobie litować się każe —
 Czyż ty nieczujesz tego piekła w duszy?

DZIEWCZYNA.

Nie! widzę niebo — i aniołów twarze,
 Jakbym jeszcze była w niebie.
 Jakiś głos wszystko dokoła mnie głaszy —
 I ciebie widzę — tak, drugiego ciebie —
 Ciebie jak we śnie — Tyś we śnie był innym,
 Jak dziecię małym, jak dziecię niewinnym —
 Nie miałeś w duszy nic oprócz kochania!
 Ty czujesz piekło! Ah! Kłękniemy razem,
 Będziemy do świtania
 Modlić się przed obrazem.

CHŁOPIEC.

Ja cię chcę pocałować! ja nie chcę pacierza!
 Pacierz, mówiłem kiedyś, wprzódym kochałem,
 Będę go mówił znowu, gdy los co uderza
 Pocieszy mnie. O! w ówczas zmówię go z zapałem —
 Lecz prosić nie chcę — za proźby nie płacą,
 A dziękować — nie mam za co.

DZIEWCZYNA.

Szalony! bluźnisz! a życie! a zdrowie!
 A miłość nasza! W piekło się nie prowadź,
 Małoż' dobrodziejstw na twój młodej głowie,
 I tyż to nie wiesz za co masz dziękować?
 Ukłęknij zaraz! — Na cożeś mnie zbudził.
 Sen był tak piękny —, tak straszno na jawie!
 Jakżeś mi serce zasnucił, ostudził —
 Teraz niepewna, w obawie
 O ciebie, siebie i o duszę twoję
 I o przyszłość się boję.
 Klękaj lub wychodź! Tak! i przed obrazem

Ze mną razem

Rozjasnij czoło zmarszczone —

I mów — *pod twoją obronę* —

(klękają).

SZATAN porywa się z kąta ze złością.

O! gdybym ja był wprzódym o twoich snach wiedział!
 Darmo bym tutaj tak długo nie siedział.

Jeden anioł w jedną chwilę

Popsuł mi tyle,

Bądźże zdrowa moje dziecko —

Róbcie już sobie co chcecie —

Ja teraz umyвам ręce,

I dla was ła nie nadkręcę,

Skosztujecie

Na tym świecie —

Że cnota nudna potrawa!

Zawołacie mnie sto razy —

Ale szatan tak nie stawia

Lada na czyje rozkazy!

(spotyka śmierć w progu)

ŚMIERĆ.

Ty tutaj? coż to robisz? czy masz jaką duszę?

SZATAN.

A! gdzie tam, zły jak djabeł odchodzić ztąd muszę.

Pani tu po co!. jeśli wolno pytać.

Pewnie już kogo schwytać.

Ah! jeśli wolno radzić, mam ja radę złotą.

Jest tutaj dwoje starych — oni się nażyli,

Gdyby ich można sprzątnąć?

ŚMIERĆ.

Z największą ochotą!

SZATAN.

Dzisiaj jeszcze może —

ŚMIERĆ.

W tój chwili.

SZATAN *do siebie.*

A jak dziewczyna zostanie sierotą —
Już ja w tém jestem i moje staranie,
Że cnotliwą nie zostanie.

(do śmierci).

Otoż — ja poprowadzę, prosto na posłanie.
Staremu można piersi spiekłą krwią zapławić,
A starę bardzo łatwo, jak muchę zadławić.
Resztę już można na potém zostawić.

Troszkę litości potrzeba.

ŚMIERĆ.

A dusze ich gdzie pójdą?

SZATAN.

Ja nie wiem! — do nieba —

(krzywi się)

I! to tak sobie zimne jakieś dusze,

Oboje starzy, nabożni oboje,

Ja ich ani ruszę —

Anioł weźmie jak swoje.

Ale nie ma anioła,

A kto go tu zawoła?

Ja sam niemożę — lecz, zresztą — tym czasem —
Można je tam zostawić w cerkiewce pod lasem.

ŚMIERĆ.

Stało się!

SZATAN

A! panie aniele,
Chciałeś mnie odrwić, lecz i ja nie ciełe —
Zobaczym kogo posłucha sierota:
Kiedy ja jeszcze wprowadzę we wrota —
Z jednej strony ubóstwo, z drugiej worek złota,
Trudno oprzeć się nędzy;
A ty nie dasz pieniędzy.
Wyjdę z tego ze sławą,
Bravo kochanku! bravo!

NOC DRUGA.

Chata też sama. Szatan siedzi na progu i komary bije.

SZATAN.

Idźcie, idźcie z pogrzebem,
Została mi siérotka,
I nic dla niéj pod niebem,
Tylko jedna jéj *cnota*!
Prawda! bardzo pobożna,
Lecz sposobów jest tyle!
Tyle użyć ich można,
Tyle zmieniać co chwilę,
I nie dać jéj oddechu,
Dręczyć, łechtać ją, kusić.
Żeby z tego pośpiechu,
Do złego ją przymusić.

(myśli).

Naprzód — puszcze kochanka —
 Wszystkie już wolne chwile,
 Od wieczora do ranka,
 Będzie prawie jej mile,
 O roskoszach, pieszczocie,
 Ani słówka o cnocie.
 Może obiecać wiele —
 Ma łyzy, klątwy, rospacze,
 Niechaj prosi, niech płacze,
 Ja go poprę, ośmielę;
 Gdy mu się wzbroni szalona,
 Niech ją pochwyci w ramiona,
 Niech trucizną ust pokona.
 Niech pocałunkami wleje
 Ogień, którymi tleje.
 Jeśli i to nic nie nada,
 Inszy sposób, insza rada:
 Mam tu starego sąsiada,
 Ona biędna, on bogaty,
 Jéj nędzę jeszcze podwoję,
 Przyjdą klęski, pożar, straty,
 A on weźmie ją jak swoją.
 Jeśli nie — ludzi tak wiele;
 Wyszukam jeszcze innego,
 Słodką duszę w piękném ciele,

Jak anioł z nieba pięknego.

I — (*ogłada się*) ale gadaj że tu! wspomnia-
łem anioła,

Otóż się już tutaj wlecze!

Ah! gdybyś ty wiedział człecze,

Jak ja krwawo w pocie czola,

Pracować muszę

Na jedną duszę!

ANIOŁ.

Ty tutaj znowu?

SZATAN.

Tu moje mieszkanie.

Szanowny Panie,

Nająłem sobie niewielką

Dziurę pod belką,

I spokojnie siedzę w kątku.

Ciężkie czasy, znój, robota!

Nigdzie zysku ni początku,

Twarda teraz w ludziach enota!

ANIOŁ, *zajrzawszy do chatki.*

Cóż to? od wczorajszej nocy

Dwoje tu ludzi umarło!

To, nie bez twojej pomocy!

SZATAN.

Z mejj! stary dwa lata chory był na garło,

Samę imosć kaszel krztusił,

Cóż dziwnego że udusił?

A wszystko na mnie zwałacie!
 Ja spokojny, wszak na drodze,
 Nigdzie ludziom nie zachodzę;
 Siedzę w kącie w ciemnej chacie,
 Nie jestem nawet uczony, —
 Poczciwy jestem bo goły,
 A przyjechałem w te strony,
 Dla zakupienia smoły!
 Kto co zbroi, kto co spleta,
 Kto umrze, kto się urodzi,
 Krzyk z całego na nas świata!
 Proszę! cóż im diabeł szkodzi?
 Diabeł swoją drogą chodzi,
 Z ludźmi nie ma do czynienia,
 Na dnie piekieł gospodarzy,
 A tyle jest do zniesienia,
 Tyle plotek i potwarzy!
 Zawsze na nas wina cała
 Ah!

ANIOŁ.

Byłeś gdy śmierć przyleciała?

SZATAN *jużajac się.*

Czy byłem? pytasz czy byłem?

Nie — nie przypominam sobie —

Coś w drugim kącie robiłem —

Bo ja, to zawsze coś robię.

Próznować! ah! jak rzecz zdrożna,
 I u nas to się nie godzi.
 Próźniactwem z gubić się można,
 Praca piekło nawet słodzi.
 Ja zaś, mówiąc między nami,
 Pomiedzy tymi diabłami,
 Przypadkiem jestem mój panie!
 Za życia byłem poczeiwy.
 Lecz przyjaciele, kochanie
 Nadto byłem liłościwy —
 I te intrygi przekłete —
 I miłość — ta mnie zawlekła,
 Chociaż życie wiodłem święte,
 Intrygą wlażłem do piekła.

ANIOŁ.

Nie! tych dwoje umarłych — ta biędna sierota!
 Diable, to być nie może, to twoja robota!

SZATAN.

No — toż ci prawdę powiem, nie chciałem się chwalić,
 To i brzydko i niemiło.
 Napróżno chciałem śmierć wypchnąć, oddalić,
 Bo mi staruszków żal było —
 Próżnom mówił „Co ci szkodzi?
 „Oboje jeszcze dość młodzi,
 „Niech sobie trochę pożyją.”
 Ona, czy za radą czyją.

Czy się jeść chciało Jójmości,
 Ani słuchać mnie nie chciała!
 Jeszcze pod nos mi burczała:
 „Cóż to do tego Waszmości? —
 Ja się śmierci bardzo dziwię —
 To z jój strony nieuczciwie;
 Zostawiła tu sierotę,
 A kto wie co się z nią stanie!

ANIOŁ.

Cicho kłamco — to gadanie,
 Odkrywa twoją niecnotę,
 Ty to zrobiłeś sierotę —
 Widać w każdym twojem słowie
 Co po twojej błdzi głowie,
 Lecz szatan jój nie dostanie,
 Bo ją strzegą aniołowie.

SZATAN do siebie.

Bardzo grzeczne powitanie!
 Ot tom się przysłużył sobie —
 Hm! lecz niepotrzebnie tchórzę —
 Nic ja aniółom nie zrobię,
 Nic on mnie zrobić nie może —

(głośno).

No! a choćbym to zrobił, Waści się nie boję,

Każdy niech robi swoje —
 Każdy ma swoje rzemiosło.

Waści tu nie potrzebne staranie przyniosło.

Ja tu króluję, kuszę

I swoje zrobić muszę —

Do mnie należy sierota,

Już zamówiłem jój duszę.

ANIOŁ.

Nie! dotąd niepokalana.

SZATAN.

Mam kochanka, mam wór złota,

I nieboję się Waspana!!

Jeśli już ja nie dam rady,

Przekupstwem, nędzą, przykłady,

Szyderstwem, boleścią sroga —

Jeśli jój złoto, rokosze,

Jeśli fortele nie zmogą —

Wówczas sam odstąpię sporu —

Duszę jój tobie odnoszę —

Niechaj idzie do klasztoru!

Lecz ty już więcej nie wstępuj tu proszę —

ANIOŁ.

Milczę — lecę — lecę z wysoka,

Na chwilę nie zwrócę oka!

Milczę, lecę, lecz zdaleka,

Sięga aniołów powieka!

I przed jój skrzydły złotemi,

Szatańskie twarze padają

Gdy lecę, cichość po ziemi
 Skrzydła moje rozścielają
 Lecę — lecz moja powieka.
 Szatanie! Sięga z daleka!

Lecę, lecz czyje serce raz natchnąłem cnotą,
 Nie zdobędzie go piekiel, roskosze i złoto!
 (odlatuje).

SZATAN *sam z podskokiem.*

No! no, no panie aniele,
 Ze mną wygrać to za wiele!
 Jeśli będzie tak uparta,
 Ze pokona mnie, mnie czarta!
 Przysięgam na tę której nie mam duszę,
 Że z piekła więcej krokiem się nie ruszę!
 I sam u Lucyfera uproszę za karę
 W najgłębszym piekle, najgłębszą pieczarę,
 Gdzie sam jeden, bez gazet, bez ruchu, samotnie —
 Za te moje zuchwalstwo wycierpię stokrotnie.
 Lecz nim to będzie!! kogoś trzeba do pomocy!
 Ha! jest tu baba jedna! często na łopacie,

Wędruje z nami w nocy
 Hulać na sabbacie —
 Wcale miła kobiecina,
 Przed diabłem oka nie zmrúży,
 Córką chrzestną jęj dziewczyna.
 Ona mi tutaj usłuży,

(puka do drugiej chatki).

Dobry wieczor wam kumo!

GŁOS *w środku.*

Któż to tam po nocy—

SZATAN.

Pomocy żądam, pomocy, —

Przyniosłem z sobą wódkę i białuchną gaskę

I na komin chrustu wiązke.

Chciałbym, chwilkę pogadać, mam prozbę usilną

Bardzo mi pilno.

GŁOS.

Idę.

(*Baba wychodzi.*)

B A B A.

Któż to jesteście i z kąd panie bracie?

SZATAN.

Jak się macie! jak sięż macie!

(*ściska ją.*)

Cóż to, czyli mnie nie znacie?

Ze mną na przeszłym sabbacie

Wędrowałaś na łopacie.

B A B A.

To wy!!

SZATAN.

Ja!

B A B A.

A czegoż chcecie.?

SZATAN.

Różne mam sprawy po świecie,

W jeduój z nich mi pomożecie.
Prawda? macieź na to wola?

B A B A.

Jeśli mi siły pozwolą.

SZATAN.

Taka rzecz. Jest tu sierota dziewczyna,
Mieszka obok — jój mi trzeba.
Chce się jój gwałtem do nieba,
I cnotliwą być zaczyna.
A to, weale nieuczciwie,
Bo tak mówiąć między nami,
Gdyby każdy żył cnotliwie,
Piekło stałoby pustkami.
Trzeba jój podszeptać trocha,
Niech się zbałamuci, kocha —
Niechaj uścisków nie broni.
Jest tam jeden, chodzi do niej,
Niezego! sądząc z daleka,
Gotów on wyjść na człowieka,
Pozapominał pacierze,
I do niej się tego bierze.
Jeśli wy w to potraficie,
Że mu uścielecie drogę —
Ja wam za to jeszcze życie,
Trzy lata przedłużyć mogę.

BABA *klaszcząc w ręce.*

Trzy lata! moje kochanie!
Co chcesz? żądaj! wszystko zrobię.
Ręczę że ją oddam tobie.
Kto zechce to ją dostanie!

SZATAN.

No, no! tylkoż nie tak żwawo —
Ostróżnie! trzeba, powoli,
Kiedy człowiek idzie w prawo,
Nie ciągnij go przeciw woli.
Lecz wskaż, śmu że lewa strona
Jest prawą! sposób jedyny.
Tym się spodziewam pokona,
Uparta cnota dziewczyny.
Powiedz jej naprzód w sekrecie,
Że wszyscy błędzą na świecie,
Że cnota jest słowo marne,
Że wszystko tylko pozory!
Białe z wierzchu, w środku czarne,
Nigdzie rzeczy, lecz kolory.
Tak jak poduszki smętarne
Zwierzchu jedwab, w środku wióry —
Czy rozumiesz że mnie babo?

BABA.

Bardzo mało, bardzo stało —
Lecz i mnie w ciemię nie bito —

Ja także jestem kobietą.
I ja także byłam młodą,
I —

SZATAN przerywa.

Wiem! wiem! za twą urodą
Choćby najdalej
Chłopczy biegali.
Smakując twemi wdziękami —
Chłopczy, co dziś gniją w ziemi
Albo gdzieś pod szpitalami
Trzęsą brodami siwemi.
Tak to zawsze moje dziecię!
Lecz gdy czas zęby wybije,
I garb powiesi na grzbiecie.
Nikt się nie dowie czy przecie
Jeszcze stara baba żyje.

BABA myśli.

Ale trzy lata, trzy lata,
To bardzo mała zapłata!
Tyle trudu, tak nabożna,
Tak tanio zrobić nie można.

SZATAN.

No to cztery.

B A B A.

Cztery! mało;
Gdyby dziesięć!

SZATAN.

Targi ze mną!

Cóż to się tobie stało!

Zrywam się — wszystko daremno:

Jutro śmierć w chatkę zapuka,

A ja znajdę sobie drugą —

Diabeł nie długo poszuka,

Každy mu gotów z usługą.

B A B A.

Czekaj że — moje kochanie,

Niech jak chcesz już tak się stanie.

Cztéry! no! no — zgoda! zgoda.

SZATAN.

A moja dziewczyna młoda — ?

B A B A.

Twoja — krokiem się nie ruszę,

Aż ci jój zamówię duszę.

SZATAN.

Pomnij!

B A B A.

Pomnij! cztéry lata.

SZATAN.

Zasłużysz — będzie zapłata.

Teraz kij w ręce babino,

Kantyczki kładnij w kieszenie,

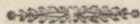
I ze skruszoną idź miłą —

Serdeczne klamać strapienie,
 Idź i pukaj moja droga,
 Ja będę stróżem u proga.

(Baba wchodzi).

Jeśli kto tutaj zawita,
 Kogo mi wcale nie trzeba,
 Będę psem! rzecz wysmienita —
 Mnie nie zwabi kęssem chleba,
 Ani kijem nie obije —
 Szczeknę, rzucę się, zawyję.

I nikomu już, nikomu
 Nie dam wstępu do jój domu.
 Na każdego się nasrozę
 Tylko jemu! — drzwi otworzę.



NOC TRZECIA.

Taż sama Chatka.

BABA, DZIEWCZYNA.

B A B A.

Tak to, tak, otrzyj z powiek te łzy moje dziecko,
Každy ma smutki kto żyje na świecie,
A nikt ze smutku nie umiera przecie.

DZIEWCZYNA *placząc*

O matko! matko! wspomniałam o tobie —
Ciebie już nie ma! ojca, matki, brata —
Próżno ja wołam! bo wszyscy tam, w grobie —
Jam tylko jedna została wśród świata —
Mnie jednę trzeba przeżyć wszystkie bole,
I wszystko ścierpieć, co się cierpieć może.
Czemuż mnie za nich nie wzięłeś, mój Boże!
Oni żyć chcieli, a ja umrzeć wolę!
Nie mogę spojrzeć — gdzie oczy podnoszę,
Wszędzie pamiątki po ojcu, po matce,

I wszystkie dawne dziecinne rokosze
 Któreśmy razem przeżyli w tój chatce.
 Pamięć mi wraca — łzy się z oczu rzuca —
 I łzy wróciły! — a oni nie wróca! —

BABA *przebiera różaniec.*

Nie bluźnij, serce; Bóg siedzi wysoko,
 Wie [komu zesłać żal, komu pociechę,
 Dzień i noc patrzy tego święte oko,
 Równie w pałace, do gniazda, pod strzechę,
 Któż wie! Śmierć nagła — to znak Bożej kary —
 Ludzie to byli — mogli mieć przywary.
 Mogli być grzeszni

DZIEWCZYNA *porywa się.*

Kto! kto? oni — oni!

Ojciec, co nie dał spocząć pracowitej dłoni,
 Co dzień cały pracował, w noc wracał do chatki,
 Chlebem zroszonym potem żywić biedne dziatki,
 Matka! [której ust czystych nigdy gniew nie zmazał,
 Co żyła jak aniołom żyć Pan Bóg przykazał,
 Co dla dzieci by życia nie szczydziła swego,
 Co nas pierwsza uczyła modlitwy do Boga!
 Matko ah! matko moja z nieba wysokiego,

O! usłysz mnie matko droga —

Nie! ty nie miałaś grzechu, tyś świętą skonała,
 Bo męczeństwem twe życie i cierpieniem było —
 I młodość twoja na łzach uleciała,

I we łzach jeszcze leżysz pod mogiłą!
 O! jeśli nieba nie było dla ciebie;
 To nie ma nieba i piekło jest w niebie!

B A B A.

Ah! cóż ty pleciesz! cóżes ty wyrzekła?
 Czy ci to szatan podyktował z piekła?
 A któż bez grzechu, kto moje kochanie
 Czysty przed Bogiem stanie?

Wszyscy grzeszą; cnotliwym tego świat rozumie
 Kto na pozór cnotliwy, eicho grzeszyć umie.
 Słuchaj! żeby z twych oczu łzy spędzić dziewczyno,
 Teraz nas tu nie zejdzie nikt nocną godziną —
 Opowiem ci o sobie. Ujrzysz moje dziecko —
 Że nigdzie niema cnoty prawej na tym świecie.
 Tak się każdemu młodemu wydaje,
 Póki świat jeszcze dla niego różowy —
 Niech no wiek tylko lice mu pokraje,
 I mądrość siwa zawita do głowy

DZIEWCZYNA żywo.

Toż to jest mądrość, aby cnotę przeżyć?
 Kazać w nią ludziom nie wierzyć:
 Jeśli to mądrość — nie chcę jój nabywać,
 By siebie dręczyć a świat oszukiwać —
 Tyś mnie matko uczyła mądrości dziecięcój,
 Cały świat kochać, kochać i nie więcój!

Pracować ciągle, rzadko się weselić,
 Z biédnym się chlebem i smutkiem podzielić,
 Dziękować Bogu a o nic nie prosić.
 Roskoszą gardzić — a cierpienia znosić!

B A B A.

Dobrze to gadać! At, moje kochanie,
 Insze to życie a insze gadanie —
 Pięknie to, ślicznie, niby mądrze bardzo,
 Lecz ci co mówią, nie wszyscy to robią —
 I tym kto robi, jako głupim gardza,
 Śmiechem go szeczają, szyderstwem podziobią.
 Bóg dał nam życie, ażeby go użyć,
 Światu całemu przykazał nam służyć —
 Czas drogi luba — a na łożu śmierci
 Już go nie przydać na chwili pół ćwierci.
 Dobrze ci matka mówiła kochanie,
 Miłość za wszystko stanie.
 Lecz tobie jak być szczęśliwą niebogo,
 Kiedy nie kochasz nikogo?

DZIEWCZYNA.

Ja! Kocham wszystkich, świat cały!
 Zwierzęta, ludzi, ptaki,
 Kamienie, głązy, skały,
 Kocham wszystko — któż jest taki
 Komubym w sercu nienawiść chowała?

BABA ze śmiechem.

I to twoja miłość cała?

DZIEWCZYNA.

A jakąż ma być?

B A B A.

Oj, oj moja droga,

Nie taka miłość szczęście życiu daje,

Jeszcze ty bardzo na miłość uboga.

DZIEWCZYNA.

Ah! wiem co myślisz — i tego nie taję —

Jest jeden kogo kocham nad świat cały;

Co od kolebki aż do téj godziny,

Czy mi serce pękało, czy oczy łzy lały,

Wiernym był towarzyszem ubogiej dziewczyny.

Ten może gdy Bóg pozwoli

Podzieli ze mną resztę mojej doli.

A kiedyś — kiedyś, daj najprędzej Boże, —

Wszyscy tam w niebie spotkamy się może.

B A B A.

Takie to szczęście ty wystawiasz sobie?

Niewielkie szczęście w grobie!

Niewielkie szczęście gdy przez całe życie,

Jeden towarzysz wlecze się za nami;

Jeden! to bardzo mało moje dziecię —

Niechaj cię przykład fałszywy nie mami —

Jeden przysięgę na życiu odbierze,
A stu ją złamie.

DZIEWCZYNA.

Ah! temu nie wierzę.
Jak to? możnaż by kochać nie na całe życie?
Możnaż kochać i przestać, przysiądz i fałszywie?
Możnaż kochać na pozór oszukując skrycie?

B A B A.

Twoim się myślom, dziecię, bynajmniej nie dziwię,
Dla ciebie jeszcze świata tyle co w okienku.
Lecz przyjdzie doświadczenie! przyjdzie pomaleńku!
(po chwili)

Cheiałam jeszcze pobzdurzyć nim sen oczy zlepi —
Odłóżmy to na jutro.

DZIEWCZYNA.

Słucham cię! Mój Boże!
Czemuż do mnie tak matka przemówić nie może!

B A B A.

Z matką byliśmy krewni i jednego rodu —
Znaliśmy się od dziecka, kochali od młodu,
Pod jednym dachem nasi rodzice mieszkali.
Potém, jak te dwie chatki byliśmy nie dalej —
Widzieliśmy się zawsze — wiedzieli o sobie —
I kości nasze w jednym spotkają się grobie!
Żyliśmy jak dwie siostry w zgodzie i pokoju,
Z jednego wodę czerpałyśmy zdroju,

Z jednych kwiatów nasze wianki,
 Jednakowe nasze pieśni,
 Lecz co ci się pewno nie śni,
 Obiedwie razem jednego kochanki.
 Był tam sąsiada syn piękny i młody,
 Naszego wieku a wdzięcznej urody,
 Trzpiot jak ten ptaszek co po dworze lata,
 Wesół jak gdyby na przestrzeni świata
 Przez ciąg jego życia cały
 Same roskosze tylko go czekały.
 Mówże teraz o enocie! my obie dziewczyny,
 W ciężkiemy grzech popadły, obie z jego winy.
 Mówże teraz o enocie!

DZIEWCZYNA

 Dość! dość! ah! na Boga —
 Pamięć méj matki nad życie mi droga —
 Nie chcę nic słyszeć!

B A B A.

 Wszak to prawda czysta!
 Otóż to enota co ci była wzorem.
 Głupi kto z młodych lat swych nie korzysta —
 Człek nie jest mnichem, świat nie jest klasztorem,
 Żeby się na nim dręczyć umartwieniem.

DZIEWCZYNA.

Ah! dość — zlituj się, to nad moje siły.
 Zaledwie grób jój zlałam łez strumieniem,

Już nań twe usta tak ciężką rzuciły,
 Tak fałszywą, brzydką plamę!
 Dość! wierzyć nie chcę! I cnotę tę samę,
 Jaką widziała w jój ustach i życiu,
 Jaką wyssałam z mléką przy powiciu —
 Taką zaniosę oddać jój do nieba. —
 Umrę wyśmiana i skonam bez chleba.
 Lecz nigdy cnotą szczęścia nie okupię.

B A B A.

O dziewczę! dziewczę! (*do siebie*) uparte i głupie —

A z tego głupstwa przyczyny,

Dla mnie najcięższa strata.

I te przepadły godziny,

I tamte cztery lata.

Trzeba jeszcze poczekać, kropla mówią pada

I w kamieniu dół wyjada.

(*głośno*).

No, no. Jak chcesz moja miła.

To com ci teraz mówiła,

Nie koniecznie dla ciebie ma za przykład służyć,

Każdy swojego życia jak chce może użyć: —

Wolno tobie przepłakać, długie znosić bole —

Wolno drugim prześmiać się. Na to Bóg dał wolę.

Wolno mogąc chleb dostać, od głodu umierać —

Lecz na to Bóg dał rozum, ażeby wybierać.

DZIEWCZYNA.

Rozum? wszak w sercu jest rozum człowieka?
 Serce szczęście, nieszczęście przeczują z daleka—
 Ono tam gdzie myśl nasza dolecieć nie może,
 Wskaże drogę przez bezdroże.
 Ono gdy się człek zbliża, szepeje nam tajemnie
 Czy go kochać, czyli stronić.
 O! serce!

B A B A.

Człek też sercu ulegać wzajemnie,
 I rozkazom się jego nie powinien bronić—
 A cóż ci ono gada, kiedy kochasz kogo?

DZIEWCZYNA.

Poprowadzić go z sobą jedną cnoty drogą,
 I przepędzić z nim życie i w niego się wcielić—
 Szczęście jego podwoić, a smutek podzielić.

B A B A.

Ale czyż serce zawsze tak jednego kocha?
 Tak to z początku miłość nie ma końca,
 Lecz nasycona zaczyna być płocha—
 Inszy wschód, inszy wieczór zachód słońca—
 Tak, moje dziecię— tak jest Bogu dzięki—
 Bo Bóg nie dla jednego dał młodość i wdzięki.
 A cóż z swoim kochankiem zrobisz moja miła?

DZIEWCZYNA.

Cóż? myślę go zaślubić.

B A B A.

A toćbyś się zgubiła!

DZIEWCZYNA.

Możesz mnie szczęście zgubić?

B A B A.

Śliczne szczęście moja droga,

On ubogi, ty uboga.

Kochać go sobie możesz, wszak to nic nie szkodzi,

Lecz o losie zapomnieć także się nie godzi.

Ja dam ci radę, bo chcę szczęścia twego —

Bogatego miej mężem, kochankiem lubego.

DZIEWCZYNA.

Cóż to? czy chcesz mnie wybadać tą radą?

Miałabym żyć występkiem, być szczęśliwa zdradą!

B A B A.

At! wszystko to gadanie, tak się zawsze gada;

Miłość nie jest występkiem, kochać to nie zdrada.

DZIEWCZYNA.

Gdy Bóg przysięgi odemnie wysłucha —

B A B A.

Pan Bóg na te dzieciństwa nie nadstawia ucha.

Zresztą? a cóż to złego pójść za mąż dla chleba,

I co za dziw że żyjąc kochać kogoś trzeba?

O! gdyby mi wróciły twoje młode lata,

Wiedziałabym, wiedziała, jak mam użyć świata,

I mnie kiedyś przekłete sumienie dręczyło;
 Przyszedł potem rozsądek — a czasu niebyło.
 Tak to zawsze ten traci, kto z rad nie korzysta,
 I myśląc że na ziemi sama cnota czysta,
 O jój się imie dobija i stara,
 A nie wie że ta cnota, to słowo, to mara —
 Rzecz którą każdy rozumié inaczej —
 Bogacz złotem, a żołnierz siłą ją tłumaczy —
 A dziewczyna uporem. Upor to nie cnota —
 Cnota to szczęście, a kto szczęście schwyta,
 Ten czy zbójstwem, uporem, czyli workiem złota
 Zyskał je, dośé że zyskał. Cieszy się i kwita!
 Oj! znamy takich wielu, co to w każdym słowie,
 Cnotę chwala, cnotliwym kładą laur na głowie.
 Oni sobie gadają, a pod mową swoją
 Gdy się nikt nie spodziewa, jak zechcą tak broją,
 Wiem ja co i ty myślisz!

DZIEWCZYNA.

Jakto! wiesz? cóż przecie?

B A B A.

O! wiem dobrze moje dziecię.
 Myślisz sobie pójść za męża, żebyś potem miała
 Kochanków wielu i szczęścia pouszy —
 Żeby ci młodość słodko ulęciała —
 A gdy grzeszyć czas minie — pomyślisz o duszy:
 Rzucisz miłostki i tanice,

Swawole, chichi i skoki,
 Wezmiesz kantyczki, różaniec,
 Na głowę kaptur szeroki,
 I cichym głosem, pokorne,
 Będiesz, chociażby nieszczerze,
 Szeptać poranne, wieczorne
 Koronki, pieśni, pacierze.

A gdy umrzeć będzie trzeba,
 Ziemię w zysku mieć będziesz i nie stracisz nieba.

DZIEWCZYNA *porywając się.*

Więc dobranoć sąsiadko — czas już spocząć będzie,

BABA *siedząc.*

Ja przy tobie zostanę, dla mnie dobrze wszędzie.

DZIEWCZYNA.

Lecz tam u was wygodniej.

B A B A.

Cóż mi tam wygoda!

Mamże ciębie zostawić samą jedną w nocy,
 A jeszcze noc tak ciemna, a ty taka młoda,
 Próżnobyś tu wołała sąsiadów pomocy.
 Nikt nie usłyszy, nikt się nie obudzi,
 A tyle jest złoczyńców, tyle jest złych ludzi!
 Co to tylko czyhają na zgubę człowieka.

DZIEWCZYNA.

Nade mną Boża opieka.

Ona we dnie i w noc ciemną
Zawsze nade mną.

B A B A.

Ale raźnij we dwojgu. Nie strach że ci zostać,
Gdzie świeża jeszcze wszędzie twych rodziców postać,
Tu, z kąd dopiero ich trumny wynieśli ?

DZIEWCZYNA.

A czegoż się mam lękać ?

B A B A.

Czego ! oho ! jeśli, —
Jeśli upior lub szatan — bo moja kochana,
Chodzą

DZIEWCZYNA.

Upiorów nie ma, jest krzyż na szatana.
Teraz dobranoc, idźcie, nie troszczcie się przecie,
Złodziej nie przyjdzie do ubogiej chatki.
A jeśli dusza mego ojca, matki,
Przyjdzie odwiedzić nieszczęśliwe dziecię —
Przyjmie ich zawsze córka przywiązana.

B A B A.

A szatan ? —

DZIEWCZYNA.

Ja się nie boję szatana.

• Dobra noc, idźcie !

(Baba wychodzi).

Idź ! idź , niegodziwa !

Wyszła! wolnam dzięki Bogu,
 Bodajbym była szczęśliwa
 Więcej już jęj nie widzieć na tęg chaty progu,
 Co za poczwara! cieszyć mnie sierotę,
 Wskazując, że wolna mogę
 Za trochę złota przedać moją cnotę
 I pójść w potępienia drogę.
 O matko moja! na tym brudnym świecie —
 Wspieraj z nieba twoje dziecię!

BABA i SZATAN u progu.

SZATAN.

Czegoż to idziesz? wszak tam miałaś zostać?

B A B A.

I! to rzecz próżna!

SZATAN.

Jakto! co! rzecz próżna?

B A B A.

Nikt tęg dziewczyny nie potrafi dostać —

Z nią do ładu dojść nie można.

Ja jęj gadam wielkim głosem

Na skromność, na samą cnotę —

Plotę, jak najęta plotę;

Ta drzwi zamyka przed nosem.

SZATAN.

I już po wszystkiem ?

B A B A.

Czas nam jeszcze został.

Ale jak mi świat ten miły,

Gdybyś mnie prosił, zapłacił czy chłostał —

Więcej nie pójde — to nad moje siły.

Z początku miałam nadziei choć trocha —

Ogień dziewczyna, i kogoś tam kocha —

Ale jak przyszło rozgadać się szerzej,

Nie bardzo dała powiedzieć mi słowo —

Ona tak w cnotę jakby święty wierzy!

Napróżno zgrabną zaciągnawszy siatkę

Chciałam ją zgorszyć obmową,

I nuż jej gadać na matkę.

SZATAN.

A głupia! któż ci kazał tak psuć sprawę sobie

I tak bezczelnie kłamać ? mogłaż temu wierzyć ?

Trzebaż było na matkę nieostygłą w grobie —

I w pierwszej żalu chwili tak głupio uderzyć.

A! bodajżeś przepadła babo opętana. —

B A B A.

Ot to! Gadajże z niemi! Wszystkiego tam było.

W tém się ja nie powstydzę samego szatana,

Bo kiedy chcę podkusić, to gadam aż miło.

Ale z nią, to żadna rada

I sam diabeł nic nie nada.

Lepiej, słuchaj, idź sprobuj, jest tutaj dziewczyna,

Siostrzenicą mi przypada,

Szesnasty roczek zaczyna

I patrzeć jeszcze nie śmie i mało co gada.

Sama niewinność. Tam ci pomodz muszę

I zaręczam za jój duszę.

SZATAN.

Idźże mi precz z radą swoją! !

Otóż druga próba próżna.

Pięknie mi się rzeczy kroją,

Jednej duszy kobiecej pochwyć nie można.

Jest czego być złym u kata.

BABA.

No! ależ moja zapłata?

SZATAN.

Za co?

BABA.

Moje cztery lata?

Za co? a jużci jest za ca —

Straciłam kilka godzin i przyjaźń dziewczyny.

SZATAN.

A wiesz ty jak tym płaca,

Z których przyczyny

Szatan złym bywa?

Takim, powiem ci w sekrecie,

Łeb się urywa,

Moje dziecko.

Idźże, obchodź mnie zdaleka,

Bo i ciebie to czeka!

(Baba wychodzi).

No jużem babę posyłał na zwiady,

I baba nie dała rady.

Żeby nie chybić trzeba się namyślić.

Siły zgromadzić i plany wykręślić.

Nie wiem co ja sam pomogę,

Alé trzeba wyjść z honorem,

Będę próbował póki się nie zmogę;

Jeśli nie siłą zwyciężę uporem,

A! swoje zrobię.

O! tę stałość aniele winienem ja tobie!

We śnie jój jakichś myśli napuścić do głowy

Jakiś sen różowy!

Różowy i śliczny! bodajbyś ze snami

Przepadł na wieki! O słabe stworzenia

Lada sen jeden was mami,

Lada anioł was odmienia!

I cóż tu teraz poradzić,

Kogo tu na^unia nasadzić?

Gdy ta nie pomogła jędza,

Możeby teraz jakiego dziecinę

Co ma niewinną minę ?
 Czy filozofa, czy xiędza ?
 Czy może jaką poczciwą dziewczynę ?
 Czy niechaj sprobuje nędza,
 Czy przykłady jój postawić
 I w większy świat ją wprowadzić,
 I odurzyć ją, ubawić
 I pochlebstwami okadzić;
 Aż póki próżność w serce się nie wkradnie
 I oślepiąca nie padnie ?
 A — dość że mi nie uciecze !
 O anioły ! o człowiecze !
 I jest że to rzecz słychana,
 Aby jedna dusza mała
 Tyle pracy kosztowała,
 Takiego jak ja szatana !



NOC CZWARTA.

Izdebka filozofa. Szatan wchodzi pod postacią mężczyzny średniego wieku.

SZATAN.

Stokroć przepraszam że przeszkodzę może,
Lecz sława zawsze natrętów przyczyna.

FILOZOF.

Nie ma żadnej przeszkody! Broń Boże, broń Boże!
Wieczór jest dla mnie spoczynku godziną.
Miło gdy kto tę chatkę nawiedzi ubogę.
Lecz czémże wam służyć mogę?
A naprzód spoczniście może —

(*podaje krzesło*)

SZATAN.

Nie — ja się bardzo spieszę. Wnet prośbę przelożę —

Sława waszój mądrości, wymowy, rozumu
 Siega nie tylko między wielkich ludzi,
 Lecz doszła do nas, do tłumu.
 Szczęśliwy, kto tak świata uwagę obudzi,
 I czyjój myśli potęga
 I doliny zapełnia i szczytów dosięga.

FILOZOF.

Ach! przestańcież! To prawda, pisarskie rzemiosło
 Dość moje imię rozniosło.

Wiem o tém i bez dumy przyjmuję w pokorze —
 Gadają o mnie w mieście, na wsi i na dworze —
 A nawet, jeśli mam zdać rachunek rzetelny,
 Posiadam drogie listy kilku znacznych osób,
 Dwóch baronów niemieckich i książe udzielnny,
 Pisali do mnie w tak pochlebny sposób,
 Że te przenajdroższe listy
 Patent nieśmiertelności dają oczéwisty;
 Muszę wam je przeczytać —

SZATAN.

Nie — teraz do rzeczy.

Mam ja tu jeden zakład i śmieszny w istocie.
 Jedną dziewczynę mojej powierzoną pieczy,
 O którejbym się chciał przekonać enocie.
 Robiłem próby, dotąd bezskutecznie,
 Jeśli wy, z waszój wymowy skarbnicy
 Nie pokonacie uporu dziewicy,

Już o jój cnotę będę spał bezpiecznie.
 Lecz chciałbym byście do tego użyli
 Co tylko można z sofizmatów sztuki,
 Niech się wasz umysł najmocniej wysili,
 Żeby pobielić z wierzchu najgorsze nauki.

Probujeie na wszystkie strony,
 Wszystkich wymowy oręży,
 A jeśli człek tak wstawiony
 Jój zdania nie przewycięży,
 Będę już pewien cnoty
 Mojój sieroty.

FILOZOF.

A godziż się to kusić tak człowieka?

SZATAN.

W najczystszy cel. Powiem wam w sekrecie,
 Myślę że się małżeństwem skończy ta opieka.

A za żonę chciałbym przecie
 Mieć kobietę nieugiętą.
 I nie tylko tą ponętą,
 Będę wszelkiemi probował sposoby,
 Żebym po ślubie nie nosił żaloby
 I rogów nie miał na głowie.
 Tak! a na waszój wymowie —
 Tyle rachuję, że choć jest cnotliwa,
 Nie wiem czy się jój obroni —
 Waćpan silnie nacieraj —

FILOZOF.

Będzie walka żywa,
 Ja się serio wezmę do niej,
 Ale jeśli się przekona,
 I odtąd cnotę porzuci?

SZATAN.

Mnie to wcale nie zasmuci!
 Sto jest zyskanych, gdy jedna stracona!
 I zakład wygram. A jeśli się godzi,
 Proszę byś pół zakładu wziął Waćpan Dobrodzić.

FILOZOF.

Ah! właśnie, jestem w tym czasie,
 W maleńkim ambarassie —
 Ciężkie czasy mi cały
 Zapas mój wyczerpały.
 Zresztą jak tylko miejsce otrzymam na dworze,
 Z pensyi powrócę! bo co tak — broń Boże!
 Tak ja nie przyjmę — !!

SZATAN.

O to się nie spieram.
 Lecz proszę tylko nie oszczędzać siły —
 Bo z dwojga tego, gdy mniejsze wybieram,
 I stan bezżeństwa jest mi dosyć miły.
 Wolę go niżli życie nudne i sromotne.

FILOZOF.

Ręcę że mi w dyspacie nikt w świecie nie sprostą,
 Mam swoje różne podstępny przewrotny.
 Czasem na próbę, rzecz prosta —
 Na figiel tylko, dowiodę gdy zechcę,
 Że dzień jest nocą, a słońce nie świeci.
 Mam swoje sztuki, oślepię, ołechcę,
 Wszyscy przede mną niemieją jak dzieci —
 Hm! a wielkiż to zakład ten o którym mowa,
 Którego dla mnie przypada połowa?

SZATAN.

Będzie dukatów ze dwieście.

FILOZOF.

Samój połowy!!

SZATAN.

Tak. A teraz weźcie

Mały zadatek (*oddaje mu worek*)

mego uwielbienia.

I chciejcie wzięwszy na siebie ubranie,
 Zebrać myśli do walczenia,
 Nim przyjdziem pod jej mieszkanie.

W chacie. FILOZOF, DZIEWCZYNA.

FILOZOF.

Niech będzie pochwalony Chrystus Pan —

DZIEWCZYNA.

Na wieki!

FILOZOF.

Podróżny jestem ze strony dalekiej,
Chciałbym wypocząć z drogi —

DZIEWCZYNA.

Wszystkim otwarty ten kątek ubogi,
Siądź i ogrzej się panie.

FILOZOF.

O! dziękuję bardzo.

DZIEWCZYNA.

Możebyś się posilił.

FILOZOF.

Podróżni nie gardzą
Chlebem a choćby i mięsem jałmużny.
I ja jestem podróżny,
Dawniej żyłem w tych stronach, miałem tutaj brata.

DZIEWCZYNA.

Dawno ?

FILOZOF.

Będzie ze dwa lata,
Brat mój sławny filozof żył w mieście tu blisko.

DZIEWCZYNA.

Jakież jego nazwisko ?

Zwał się Gloriosus, nadzwyczaj był sławny,
 Jak jaki filozof dawny.

Był pyronistą, nigdy w nic nie wierzył,
 Nawet kiedy go kijem kto uderzył,
 Filozoficzne miał ciało,
 Mówił że go nie bolało.
 Czy on tutaj jeszcze żyje ?

(na stronie)

Dowiem się czy między zgrają,
 Prości ludzie mnie tu znają.

DZIEWCZYNA.

Nie wiem— ja nie bywam w mieście.

FILOZOF.

Lecz on tak sławny! Może w grobie gnije!
 Może wyjechał nareście,
 To jest wyszedł, bo ubogi,
 Powozem miał swoje nogi.

Filozofowie czasem, nad mądrość i księgi,
 Wolać mieć doświadczenie, przez ciągle włóczęgi;
 On też gdyby się nie włóczył,
 Tyle by się nie nauczył,
 A nadewszystko nie nabyłby chwały,
 Jaka lepiej poznawszy, oddały
 Obce i dalekie strony.
 Sławny, od wszystkich wielbiony,

Dziwno mi że tu tak blisko —

Nie znane jego nazwisko?

(jedząc)

Tak to moja panienko! Cóż słychać w tej stronie?

DZIEWCZYNA.

Ja nie nie wiem, siedzę w domu,

Za nowinami nie gonię,

Nie mam od kogo słyszeć, ni powiedzieć komu.

FILOZOF.

Na cóż żyć w takiej pustyni,

Szkoda wielka, latek szkoda!

Młodość jest szczęścia mistrzyni —

Waćpanna jeszcześ tak młoda.

Dobre przysłowie — póki służą lata,

Używaj świata.

Co innego gdy człek stary,

Trudno sobie dobrać pary,

A szczęście pókiśmy młodzi —

Najlepsze szczęście zawsze w parze chodzi.

Trudno, gdy wiek nie potemu

Szaleć jeszcze po młodemu.

Ale na to Bóg dał życie,

By go użyć moje dziecię.

DZIEWCZYNA.

Ja go próżnując nie tracę,

Mam zatrudnienia i pracę.

FILOZOF.

Lecz te szczęścia nie przynoszą?

DZIEWCZYNA.

Owszem — praca jest roskoszą —

Modlitwa, mądrością moją.

I z niemi jestem szczęśliwa.

Jak błogo życie upływa,

Jak rzadko w oczach łzy stoja,

Chyba gdy Bóg mnie ukarze —

I za grzechy płakać każe.

FILOZOF.

A jednak z roskoszą twoją,

Pewnie byś się moja mała

Na inny los pomieniała.

Bo szkoda — wartas lepszego.

DZIEWCZYNA.

Do pracy jestem stworzona,

I nie chcę losu innego.

FILOZOF.

Lecz być bogata, wielbiona,

Lecz widzieć pod swými nogi,

Tłum kochanków świetny, mnogi,

Widzieć się, można, bogatą!

To słodko! A tobie na to

Jednego trzeba skinienia!

DZIEWCZYNA.

Doprawdy! gdybym wiedziała —

FILOZOF.

Wszak to nie do odrzucenia
Uwielbienie! rzecz wspaniała!

DZIEWCZYNA.

Ja tego wcale nie żądam!
Bogactwa tylko — bo wkoło,
Na tyle nędzy poglądam.
Jakżebym była wesolą,
Szczęście dając bliźnim tyłu!

FILOZOF.

A sobie — ?

DZIEWCZYNA.

Ja, mam go dosyć,
Dla siebie nie będę prosić.

FILOZOF.

Ah! motylu ty motylu!
O! kobyto! o czeza mowo!
Mogęż wierzyć że to słowo,
Wyszło z głębi twojej duszy?

DZIEWCZYNA.

Na cóż mi się kłamstwo zdało?
I kogoż fałsz nie obruszy.
Kto śmie kłamstwo wyrzec śmiało

Nie wart nieśmiertelnéj duszy.

FILOZOF.

Przedziwnie ci się udało!
 No! no, jeszcze, cóż tam więcej.
 Mówisz jak gdyby uczona —
 Ale świat dziś nie dziecięcy —
 Piękny fałsz go nie pokona.
 Ty zapewne wierzysz jeszcze
 W cnotę, w litość, w te androny,
 Co to jak harpie złowieszce,
 Pokarm człeku ^{przeznaczony}
 Odbierają mu z przed nosa.
 Wierzysz, że wspierać potrzeba,
 Wierzysz, że *łza duszy rosa*,
 Otrzyma nagrodę z nieba!
 Wierzysz że jest część człowieka,
 Której nie pożrą robaki!
 O! smutneż ^{cię} życie czeka.
 Los ciągle nudny, jednaki
 Rozbije ci pierś pieszczoną,
 Zgasi oczy, serce skrwawi,
 I zrenicę, *łzę* zroszoną
 W długich ciemnościach zostawi.
 Warto by los co dał wdzięki,
 Lepsze dał myśli i zdanie,

Zatém złoż mu szczére dzięki,
 Za to dzisiejsze spotkanie,
 Ja ci powiem w co wierzyć i jak żyć potrzeba.
 Nie wierzyć tylko w roskosz, żyć tylko dla chleba.
 Nie myśleć nigdy o niebie,
 I nie nie kochać prócz siebie.

(z zapatem)

Tak jest! człek nad naturę wzniosł się i zwierzęta,
 Zyskał wiele na dumie, na szczęściu utracił,
 Zwierzę o sobie tylko myśli i pamięta,
 Na cóżby człek czas marny na litości tracił?
 Patrz, ucz się, na nich miłość krótkie kładzie pęta,
 Prędko matka z pod skrzydeł wyrzuca pisklęta —
 Ledwie w nich pierwsza iskra instynktu zaświeci,
 Idą gniazda nie pomne w swoją stronę dzieci, —
 Zwierze, kiedy roskoszy rozkwitną mu lata,
 Idzie i słucha popędu —
 Człek z głupią dumą, żądze w sercu zgniata,
 I święci szczęście na ołtarzu świata,
 I szczyli się z swego błędu.
 A kiedy miłość co rządzi wszystkiemi
 Wjęgę serce zakołata,
 On jakby nie był dziecieniem téj ziemi,
 Gardzi popędem, naturą, roskoszą,
 Dla jednéj dumy! dla marzeń bez ładu,

Które myśl jego ku niebu podnoszą —
 Ku niebu! brata zwierząt i owadu,
 Ku niebu które zrobił nadzieją, potrzebą;
 Które posadził wyżej gwiazd i słońca

I ku wieczności bez końca.

Lecz cóż jest wieczność? co niebo?

Co są nadzieje człowieka,

Którymi sięga wysoko,

Których nie widzi powieka,

Nie przeczuje myśli oko?

A dusza wierzy! — szalona? —

Wszystko wymyśli dumy jego,

Żeby mógł, nawet gdy kona,

Nie stracić jeszcze wszystkiego!

Czémże to na te losy człek-zwierze zasłużył?

Czém on jest więcej nad zwierzę?

Chłubi się życiem, którego nie użył,

Chłubi się wiarą, a wierzy nie szczerze,

Chłubi się wolą, myślą i rozumem,

Nie chce braterstwa dzielić z zwierząt tłumem —

I im odmawia rozumu i duszy!

O głupi człecze! o dumo przeklęta,

Dla niej to nędzny martwi się i susz,

Dla niej, gdy wzywa roskoszy ponęta,

Dumny — ani się poruszy.

Nie chce mieć nawet szczęścia tego co zwierzęta!

Tak! nasza wielkość jest to wymysł dumny,

I enota nasza jest tylko uporem.

Lecz te przesady rozbija rozumny,

Sam sobie będąc nauką i wzorem.

Wbrew starym błędom, wkorzenionój dumie,

Gdy się świat martwi, on się cieszyć umie,

Bo idzie tylko za natury głosem.

Na cóż by dano te żądze na ziemi,

Gdyby wiecznym naszym losem,

Było tylko, walczyć z niemi??

Gdyby życie, zwierzętom płynąc strugą hojną

Roskoszy i nasyceńia,

Dla jednego stworzenia,

Miało być ciągłą, nieskończoną wojną??

(*milczy*)

No cóż? nie pokonałem? Chociaż się nie chwale,

Lecz mówiłem żywo wcale.

Chciałem ci życie dać zrozumieć lepiej —

Bo teraz jeszcze przesad ciębie ślepi.

Ale zważ moje dziecię, na co się to zdało?

Duszy nie zbawisz, bo nie masz.

Darmo tylko dręczysz ciało,

A w nagrodę strat długich — nadzieję otrzymasz.

Nadzieję jeszcze, co gdzieś pod gwiazdami

Siedzi wysoko, a człek wierzy głupi,

I patrzy na nią wielkimi oczami,
 Myśląc, że walcząc z ziemią niebo sobie kupi.
 Co ja — to tylko w rososz na tej ziemi wierzę.

Czy słyszysz mnie dziewczyno?

DZIEWCZYNA.

Ja? — mówię pacierze.

FILOZOF.

Jak to? więc cię nie wabi ta słodka wymowa?

DZIEWCZYNA.

Nie zrozumiałam ni słowa.

FILOZOF *zdziwiony*.

Jakto? więc pozostajesz w swoim dawnym błędzie?

DZIEWCZYNA.

Każdy ma swoją przyszłość i nadzieję —

Ja, Boga, cnotę, niebo widzę wszędzie,

Drugi się z Boga, cnoty, nieba śmieje;

Zobaczym czyja wiara lepsza będzie.

Jam się w tój urodziła, karmiła, wyrosła,

A nadzieja co w niebo te oczy podniosła,

Nie jest dumą, jest tylko przeczuciem mój duszy.

FILOZOF.

I nic cię nie przekona, nic cię nie poruszy?

Na czémże sparte są nadzieje twoje?

DZIEWCZYNA.

Ja ludzi Kocham, a Boga się boję.

Wiem że On sprawiedliwy, policzy z wysoka
 Każde pierś westchnienie i każdą łzę oka.
 A te walki do których nieszczęsny się rodzi,
 Ten bój duszy i ciała, tam w niebie nagrodzi.
 Wiem że myśl moja, co tu we mnie żyje,
 Nie zginie jak zwierzęta, jak ciało nie zgnije —

Wszyscy tak wierzą jak mogą,

Każdy idźmy swoją drogą.

Nikogo podbić nie można,

Każdy swoje lepszym zowie —

Więc spór na nic, walka próżna,

Dajmy pokój tej rozmowie.

FILOZOF drapiąc się w głowę.

Dowiodłem filozoficznie,

Mówilem prawdę tak żywo!

DZIEWCZYNA.

O! to było bardzo slicznie —

Lecz nie jestem tak szczęśliwa,

Ażebym ta mowa cała,

Była dla mnie zrozumiała.

Słuchałam tylko jak słucham słowika,

Piękny śpiew jego i każdy go chwali,

Lecz z ucha nie idzie dalej,

Przyszedł dźwiękiem, dźwiękiem znika.

FILOZOF do siebie.

Hm! teraz skończyłem swoje.

Sparta nad spodziewanie.
 Teraz już tylko się boję,
 Czy mi zadatek zostanie?
 Zostać musi — ! Dwie godziny
 Prawilem tutaj androny,
 Nie przekonałem dziewczyny?
 Prawda? Lecz jestem zmęczony.

(głośno).

Dobranoc — myślę jeszcze do miasta pospieszyć.

DZIEWCZYNA.

Dobranoc.

FILOZOF.

Za przytułek nie wiem jak dziękować,
 Chciałbym cię w smutnym życiu, nawrócić, pocieszyć,
 Lecz gdy rad nie chcesz przyjmować —

DZIEWCZYNA.

Bardzom ci wdzięczna panie;
 Lecz — mam swoje przekonanie.
 Idź z Bogiem, niech ci w podróży —
 Zdrowie i szczęście służy.

(wychodzi).



NOC PIĄTA.

*Pokoik ubrany w kwiatki. Jejność Panna Kral-
kă Żołędnă na kanapie z gitarą; później Szatan u-
brany po niemiecku.*

KRALKA śpiewa przy gitarze.

Piękny chłopczynó ! piękny chłopczynó,

Rzuć na mnie okiem, ach, rzuć!

Idziesz koło mnie, idziesz drożyna —

Ach! do mnie, do mnie się wróć.

Do mnie tu do mnie, usta się palą;

I sercê bije raz wraz —

I krêw się rzuca ognistą falą,

A ty mnie mijasz jak głaz.

Chodź tu! w mych ustach całusów rzeki,

W objęciu rokoszy świat;

W jednej godzinie szczęścia są wieki,

A chwile dłuższe od lat!

O luby! wróc tu, cicho w około
 Oboje pójdziem tam w cień —
 Gdzie lipy wonne kołyszą czoło —
 Tam noc przesiedzim i dzień.

We dnie, ja głowę na twém ramieniu
 Schylę i we wzroku wzrok
 Utopim, zlejem, i tak w milezeniu,
 W dniu jednym przemarzym rok.

W nocy, ach! w nocy, gdy nas owionie
 Wiatr chłodny i rosy łyzy —
 Ściśnięm się luby, połączym dłonie,
 I usniem! Ach! słodkie sny!!

I pocałunek który z wieczora
 Przerwiemy roszkownym snem,
 Nazajutrz rano, zaczęty wczora,
 Skończym ze wschodzącym dniem!

(rzuca gitarę i ziewa).

Lecz takich rzeczy teraz, ni myślć ni śpiewać,
 Od kogoż się takiego całusa spodziewać?
 Każdy zimny! tak zimny jak słońce grudniowe,
 Serce ma przemarznęte, przepaloną głowę,
 A miłości już nie ma! Mój Boże! mój Boże,
 Co też to teraz stało się ze światem!

Długo tak potrwać nie może,

Nie może — tak —

(*ziéwa i drzémie*).

Tak — a zatem

Trwać nie może — więc się skończyć musi —

Skończenie świata! skończenie świata!

(*drzémie i usypia*).

Dzisiaj się nie wyspała, sen mi oczy dusi.

I tak — tak — (*usypia*).

Lata! — młode lata! —

SZATAN *wchodzi*.

Spi, tsyt! Budzić jój nie chcę — pocichu usiędę.

(*siada*).

A ponieważ się w ludzkie ciało ustroiłem,

Po ludzku nudzić się będę.

Jak też ja dawno, już się nie nudziłem.

(*ziéwa*).

A co też się to ze mną od tych czasów stało,

Gdy miał jeszcze prawdziwe i duszę i ciało.

Z lorda, ministra, co rej wodził w parlamencie,

Co miał cugi najlepsze i West-End-hotele,

Na prostegom spadł diabła, tak w jednym momencie,

To za wiele! to za wiele!

Tak! na prostego diabła — i w piekle są stopnie,

Ale się ich intrygą i trafem nie dopnie.

Nie wolno skarżyć, narzekać,

Trzeba się pocić i czekać.

A naprzód bićsem być trzeba.

Bićs jest jak nędzarz bez ohleba;

Nigdy na świat nie wychodzi,

Męczy się tylko i głodzi.

Tu, jeśli w nim jenjusz błyśnie iskra jaka,

Z bięsa idzie na czarta. Czart to klasa druga —

Czart jest to niby szlachcie, on męczy biedaka,

Na jego rękach piekielna postuga:

Tortury, męki i kaźnie,

Kraty, stosy, smolne łaźnie;

Musi siedzieć jeszcze w smole,

Ni nosa na świat wystawić,

Na sabaty, na swawole,

Ani wyjść, ni się zabawić;

Jest to kawał nowicjatu.

Musi męczyć, biegać, służyć,

I jak niewdzięcznemu światu,

Wszystko oddać, nic nie użyć,

Póki za czas długi, długi,

Za tę pracę i usługi

Z czarta diabłem zrobią przecie.

Diabeł już chodzi po świecie,

Diabeł ma swoje dochody,

Diabeł dusze przyprowadza,

Co sabbat dla niego gody.

Są już zyski, sława, władza!

Lecz dla mnie władza ta, zyski!

Ten stopień! jakże jest niski.

Kiedy przypomnę że przed temi laty,

W New-market pierwszy na wyscigach byłem,

Że bill nie jeden jak muchę zabiłem,

Młody, wesoły, kochany, bogaty —

Tyle straciłem, ach! tyle straciłem.

I Fanny Covent-Garden najpiękniejsze dziecko,

I Antilope klaczkę najróżniejszą w świecie,

Ach! i mojego Dicka, moją psiarnię całą,

Moje charty! — Cóż robić — stało się już, stało!

postrzega gitarę.

Gitara! Fanny moja grywała tak cudnie,

Nie raz tam w moim parku, w niedostępnym chłodzie,

Uśmiechając się do mnie miłośnic, obłudnie,

Prawiąc o nowój sztuce, o słońcu, pogodzie,

Kiedy znudzona w ręce gitarę porwała,

Co to za głoszek srebrny, brylantowy!

Jak się jój dusza w głosie malowała;

I jak to zręcznie przy końcu rozmowy,

Po wielu śmiechach, uściskach, pieszczocie,

Umiała kończyć — na złocie.

Każdy jój calus, żeby go nie stracić,

Trzeba jój było jeszcze wprzód zapłacić:

Każda banknota miłość z sobą niosła,
 Z każdym podarkiem płomienniejsza rosta.
 Póki przeklęty Morton! jój nie zmienił,
 I grosza nie dał! tylko się ożenił.

Odtąd zemstę przysięgłem Mortonów rodzinie,
 I niechno tylko który w oczy się nawinie!
 Jednak to trudno tutaj w drugim końcu świata,
 Gdzie nie doszedł gaz, para, kursa i oświata;
 Cóż by tu Anglik począł, od pierwszej godziny
 Zabiłaby go nuda, udusiły spleeny.
 Lecz otóż gospodyni oczęta otwiera
 I dziwiąc się obcemu, dokoła spojiera.

KRALKA *budząc się.*

Rogoż mam honor witać? Obcy! w moim domu!
 Spałam, co za nieszczęście

SZATAN.

Nie powiem nikomu.

Zapewne że się to nie bardzo godzi,
 Gdy kto do śpiących panienek przychodzi—
 Ale —

KRALKA.

A świat tak pełen potwarzy, obmowy,
 Byłe za co pochwyci, rozniesie, rozmaże —
 Lecz cóż to za interes? —

SZATAN.

Kończę dwóma słowy:

(wyjmuje worek i kładzie na stole)

Masz złoto!

KRALKA z uśmiechem

A! rozumiem. I cóż pan rozkaże?

SZATAN.

Rzecz mała, łatwa —

KRALKA,

Rumienię się cała.

Jest że ta rzecz godziwą?

SZATAN.

No! dość moja mała!

Proszę porzucić ze mną ceregiele —

Znam cię — dość na tém, daję złota wiele,

Możesz mi służyć za złoto?

KRALKA żywo.

O! z największą ochotą!

Ale dziś piątek — wilja —

SZATAN.

Posłuchajże przecie.

KRALKA.

Słucham.

SZATAN.

Jest tutaj na wsi dziewczyna uboga,

Śliczne, niewinniuchne dziecko.

KRALKA *krzywi się, a potem zaraz odkrzywia.*

Rozumiem, zapewne sroga,
Pewno się droży, pilnują rodzice,
Kochanek jaki może na przeszkodzie?

Dajże mi mówić!

SZATAN:

KRALKA,

Ó! wiem tajemnicę!

SZATAN:

Ale nic nie wiesz —

KRALKA *żywo.*

Wiem, i po ugodzie.

Przyrzekam tobie,

Że wszystko zrobię.

(chowa worek).

Siadaj, odpocznij trochę.

(patrzy w zwierciadło i loki poprawia).

Pan ją jak widzę kocha,

A żenić się nie chce może?

O! to tak już się założyę.

Tak to zawsze u tych panów!

SZATAN:

Ależ — język swój zastanów!

Wszak jeszcze nie wiesz ni dnia ni godziny,

Ani imienia, ni domu dziewczyny.

KRAŁKA.

No no, to mówże prędej!

Nie chciała przyjąć pieniędzy?

No! tak, wszak już wiem dokładnie?

Mówże, no cóż?

SZATAN.

Ta dziewczyna...

KRAŁKA.

Tak zimno o niej mówić! ach! wszak to szkaradnie

„Dziewczyna!!!“

SZATAN.

Niech dokończę —

KRAŁKA *zawsze przerywając.*

Niechże pan zaczyna.

SZATAN.

Tę dziewczynę chcę uwieść, ja — czy też kto drugi,

Dość, że chcę, żeby była — uwiedziona —

KRAŁKA.

No no, jestem na usługi.

SZATAN.

Lecz czegoż wrzeszczysz szalona?

Słowa powiedzieć nie mogę!

(po chwili)

Chcę ją uwieść, lecz uparta —

KRAŁKA *znowu przerywa*

Patrzaj! chce udawać srogę!

Lecz i Waćpan —

SZATAN.

Cóż u czarta!

Czy mi nie dasz wścibić słowa!

KRALKA *żywo*.

Milczę, milczę.

SZATAN.

Ty, pozorem

Dawnej z matką znajomości,

Pójdiesz do niej dziś wieczorem.

KRALKA.

Może nie przyjmuje gości?

SZATAN.

Cichoż! bo już jestem w złości!

KRALKA *śmiejąc się*.

A jakież zły — Cóż dziwnego,

Że nie chcesz kochać Waćpana!

SZATAN.

Dasz że mi dokończyć swego?

Szalona czy opętana!!

Cicho!! — Masz pójść zaraz do niej.

Wszelkimi starać siłami,

Niechaj ją przykład nakłoni,

Niech ją! szyderstwo omami —

Niech —

KRALKA.

Ręcę, i zaręczam że pójdzie za nami;

Jeśli nie namową, to siłą przykładu
 Trafie z panienką do ładu,
 Lecz trzeba żebyś Waćpan także często bywał,
 Uśmiechał się, nadskakiwał,
 Potém niby przypadkiem,
 W nocy kiedyś, ukradkiem—

SZATAN.

Nie, nie, takim sposobem to nie wielka sztuka,
 Niechaj podda się sama i zwycięzey szuka —

KRALKA

Lecz trzeba często bywać ?

SZATAN.

To nie ja, ktoś inny
 Będzie tam często bywał. Lecz nie o to chodzi,
 Ale żeby bez ślubu —

KRALKA.

Złotko ułagodzi.

Podarki usłać drogę nasamprzód powinny,
 Trzeba dawać i dawać, to nigdy nie szkodzi,
 A zawsze coś pomoże.

SZATAN.

Kiedy ich nie bierze.

KRALKA.

O! oh! tak [to z początku udają ci młodzi —
 Bądź spokojny. Dobranoc, mam jeszcze pacierze —
 Bo dziś jest piątek, Uspokoję duszę

I zaraz do niéj wyruszę.

Ale ale, gdzież mieszka i jak się nazywa?

SZATAN.

Imie jéj jest Aniela — za łąką, nad rzeką

Jest mała chatka.

KRALKA z podziwieniem.

Wiem ją! ot szczęśliwa!

To sierota po Pawle, wiem, wiem, niedaleko —

No proszę. Kiedy by się kto spodziéwał,

Że jej pan wielki będzie nadskakiwał!

No proszę, proszę. Mówże tu pacierze!!

Zawsze niezasłużony, a szczęśliwy bierze —

Ach! dobranoc.

NOC SZÓSTA.

W chatce Anieli.

ALEKSY, ANIELA, KRAŁKA ŻOLEDNA,
PAN FIL ŻOLEDNY.

PAN FIL.

No! jedziemy do miasta?

KRAŁKA *podchwytuje.*

Jedziemy, jedziemy!

PAN FIL.

A wy panie Aleksey stoicie jak niemy?

Wszak nam panna Aniela pewnie towarzyszy?

(czeka na odpowiedź. Milczenie. Aniela

się odrraca).

Cóż to? czyli się gniewa? czyli mnie nie słyszy?

A panienka czy słyszy? jedzie?

ANIELA.

Nie — zostaje.

PAN FIL z *udaną rozpaczą.*

Tak, z Aleksym, a mnie się patrząc serce kraje.
Ze mną nawet przechadzki panienska odmawia!
Tak, widzę ja to, widzę — ktoś inny zabawia.
Któs inny się podobał. Mnie tylko ze sromem
Wypechniętemu tu przyjdzie strześcić w łeb pod domem.

KRALKA.

Ach! cóż bo Wasan gadasz! Nie plotłbyś tych bai —
Samobójstwo!

PAN FIL.

A na cóż mam żyć w téj rozpaczey!
Drugi się z tém ukrywa, rozmyśla i tai,
Ja choć mówię, nie kłamię. Każdy to zobaczy.

KRALKA *do ucha Anieli.*

Czy słyszysz? ot, co twoja nieczułość zrobiła.
A broń Boże to zrobi. Będzie na sumieniu.
Ciężko tego żałować będziesz moja miła.

(głośno)

A więc pojedziesz z nami?

(milenie)

Cóż zawsze w milczeniu?

Zbywasz nas, czy się gniewasz?

ANIELA.

Nie — lecz nie pojedę.

KRALKA *cicho.*

Ej! przyjmij moja radę!

Cóż to ci będzie kosztować,
Lepiej krok zrobić nadto niż potem żałować.

ANIELA.

Ja, wiem co robię.

PAN FIL.

Dość tych szeptów proszę —
Ja! żegnam już te ściany, rospacz ztąd wynoszę.
Idę. Rzeki zamarły, topić się nie można;
Lecz mam nóż.

KRALKA.

Wstydz się Waćpan, co za myśl bezbożna!
(do Anieli)

Powiedz że mu choć słowo — o nieubłagana!
(do P. Fila)

A Waćpan padnij, padnij na kolana!

(P. Fil upada przed Anielą, ona wstaje i odcho-
dząc z Aleksym mówi).

ANIELA.

Żegnam Waćpana!
(wychodzi).

(Kralka i Pan Fil sami).

PAN FIL wstaje, ociera kolana i ziewa.

No, i cóż teraz?

KRALKA w złości.

Teraz, idź do licha!

Niezgrabny jesteś jak z lasu zwierz dziki.

PAN FIL.

Czyż nie wdychałem?

KRALKA *chodząc w gniewie.*

Ale któż tak wdycha.

PAN FIL.

Czyż nie jęczałem?

KRALKA.

To nie jęk lecz krzyki.

Tak! krzyki były. Wasan nic nie umiesz.

Nic nie znasz, nie pojmujesz — nic, nic nie rozumiesz.

PAN FIL.

Wszak dawałem prezenta?

KRALKA.

Tak! ślicznieś je dawał!

Zamiast bogatych darów, dasz tam czegoś kawał —

I okradłeś mnie tylko. Tamten niepowabny;

Nie wiele po Aleksym można się spodziewać,

A ty jesteś gbur taki, niedźwiedziu niezgrabny!

PAN FIL *ruszając ramionami.*

A to dziwne pretensje; co dzień piosnkę śpiewać,

Co dzień jedną; chodziłem od samego ranka,

Grałem role bogacza, szaleńca, kochanka.

Czegoż ty już chcesz więcej? Płaciłaś mi za to,

Nie udało się, idę. Wszak wiesz ile razy
 Podjąłem się podobnych trudów na rozkazy. —
 Lecz kamienie rozczulać, ja nie majster na to.
 (*wychodzi*).

KRALKA *sama z sobą*.

Teraz nie wiem co począć. Tu mi dobrze płacą.
 Ja biore, biore ciągle. Ale nie ma za co.
 Bo ta, jak była, zawsze skromna i trwożliwa.
 Było dosyć przykładów, prezentów, namowy.
 Kiedy jój gadam, milezy — ani się odzywa,
 Albo, co gorzój jeszcze, stroni od rozmowy.
 Nie — już nie wiem co począć.
 (*myśli*).

Pan Fil wskórać może,

Ale trzeba ztąd gwałtem wyrwać Aleksego.
 Zaraz więc zręczną bajkę naprędce ułożę.
 Żeby ją zrazić od niego.

A jak go się pozbędę. Tamten znów powróci,
 Odurzym ją, powieziem, wielki świat zobaczy
 I kto wie może z chatką i upor porzuci.
 Nie chciała z dobrej woli — to zechce z rozpaczy.
 Tak — Pan Fil może wskórać, pojedziem do miasta.
 Aleksego wypędzę — wygramy — i — basta!
 (*Dziewczyna z Aleksym wracają*).

ANIELA *do niego.*

Tak więc jutro Aleksy?

ALEKSY.

Jutro, mój Aniele.

KRALKA *żywo.*

Cóż jutro? co to jutro?

ANIELA.

Nie — nasze wesele.

KRALKA *do siebie.*

Otoż masz — wszystko przepadło na wicki,
Pobiorą się i kwita!

(głośno).

Jak to? już wesele?

I termin tak niedaleki.

A przygotowań tak wiele?

ANIELA.

Żadnych. Sukna dzisiejsza i wianek na czoło.

KRALKA.

A goście, uczta, a skrzypki i tany.

ANIELA.

Nam dwojgu samym dość będzie wesoło.

KRALKA.

Ale to być nie może! — Do téj stanu zmiany.

Trzeba namysłu.

ALEKSY.

Oddawna życzona,

Nie będzie nazbyt prędką. Oddawna Aniela
 Kocha mnie tak jak męża, kochana jak żona.
 Do szczęścia nam nie brakło, nie tylko wesela.
 A jutro.

KRALKA *do siebie.*

Jutro, jeszcze są sposoby.
 Wiele się rzeczy zmieni do jutrzejszej doby.

ALEKSY.

Jutro więc moja luba.

(ściskają się),

Prosiłem plebana.

Będzie nas czekał z rana.

(odchodzi).

KRALKA.

Jeszcze nie mogę wyjść z mego zdumienia,
 A więc jutro Aniela, stan się twój odmienia.
 Jutro! I dotąd taifaś to skrycie;
 I przede mną moje życie.
 Czyż się to godzi! A! gdybym wiedziała—
 Możeby nie tak dzisiaj rzecz się miała.
 Szkoda!!

(młczą)

ANIELA.

Cóż to? Jest że co, coby mogło zmienić?

KRALKA.

Nie, już teraz po czasie!

ANIELA.

Wszakże — dotąd pora.

KRALKA *po chwili.*

Znasz ty tego, co z tobą ma się jutro zenić?

ANIELA.

Znam.

KRALKA.

Kochacie się dawno?

ANIELA.

O! już nie od wczora.

Od dzieciństwaśmy razem wzrosli, miłość z nami —

KRALKA *śmiejąc się.*

To znaczy że cię długo twoje serce mami.

I stale ciebie kocha???

ANIELA.

Ach! czyż wątpić można?

KRALKA.

Tyś widzę moja duszo nie bardzo ostróżna.

Znasz że ty jego życie, obyczaje?

ANIELA.

Znam jak tylko znać można.

KRALKA.

Tak ci się to zdaje.

Kto wie na co się zeni. To płaszek noszony.

Tacy jak on umieją brać i rzuceć żony.

ANIELA.

Rzucąć ?

KRALKA.

Mężczyzna! to zjadła gadzina.

U nóg się twoich przysięga, zaklina,

A okiem strzela, a sercem ucieka;

A żądzą szczęścia szuka gdzieś z daleka.

I nigdy szczéry, stały — moja luba.

Zdradzić mu roskosz, oszukać mu chluba.

I to mężczyzna — kochał cię od młodu —

Myślisz że prawda? Choć przysięgał co dzień,

Ty się zaledwie wymkniesz do ogrodu —

On u nóg moich zapomni cię zbrodzień.

— ANIELA z przest్రachem.

Jezu!! co słyszę — on by miał mnie zdradzić!

I jego miłość, byłaby —

KRALKA zimno.

Zmysleniem —

Cóż to dziwnego?

ANIELA.

O serce moje, jak źle umiesz radzić;

Nieś mi nie mówiło, przeczuciem mi drzeniem!

Ja, wieki szczęścia marzyłam z nim w dali,

I wszystko padło, wszystko się rozbiło!

(porywa się)

Nie! nie! ty kłamiesz i wszyscy kłamali,

Kto to powiedział, komu się to śniło,

Kto pomyślał że on zdradzi!

Nie, nie to być nie może! od niego! od niego!

Nie chcę! nie wierzę! nie wierzę—

KRALKA.

Wierz— nie wierz, jak chcesz, ja ci mówię szczerze

Prędko ślub wezmiesz i prędko po ślubie,

Wspomnisz na rady moje, lecz po swojej zgubie.

Teraz czas tylko — patrzaj na przykłady,

Ucz się z doświadczeń i idź w starszych ślady,

Oni nas zwodzą, rzucają i gubią,

Wolno nam oddać tą samą moneta.

Śmiejmy się z cierpień, gdy oni się chlubią —

Bierzmy za szczęście, co im jest zaleta.

A chcesz pójść za mąż? To idź że bogata.

Masz się poświęcać, nie święć się ze stratą.

Weź męża złoto, duszę, krew i życie,

I odejdz wolna, — to będzie rozumnie,

Wy co inaczej czynicie,

Sami ich psujecie sobie.

Lecz zwodź go tylko! A na twojej trumnie,

Będzie płakał na twym grobie.

Bo, teraz mądry moje dziecię,

Kto miłość zimnym sercem kupuje na świecie,

Głupi kto ją od ludzi chce dostać inaczej.
Skończy na łzach niewczesnych, na próżnej rozpacz —
Więc.

ANIELA.

Ciebie kocha — !

KRALKA.

Ciebie zdradzi !

ANIELA.

To być nie może ! nie, biegnę — do niego ! —

KRALKA *chwytą ją.*

Dziecię!! I cóż to poradzi ?

Po co ty idziesz ? myśl ! czego ?

Żeby cię nową oszukał przysięgą,

Wspomnień urokiem, nadziei potęgą,

Żeby ci głowę do reszty zawrócił,

Dziś się ożenił, a jutro porzucił ! —

(Aniela wraca i powtarza cicho).

ANIELA.

I on porzucił !

KRALKA *żywo.*

A chcesz przekonania ?

Będziesz go miała. Niżeli zaświta

Przyjdzie tu do mnie — do mego mieszkania,

Mnie, swój kochanki imieniem powita,

Mnie pieścić będzie, tak jak pieścił ciebie.

ANIELA *patrząc w niebo.*

I zdrajcy, nie ma pioruna na niebie !!

KRALKA.

Będzie przysięgał, jak przysięgał tobie.

ANIELA.

Ach — nie kończ — przestań. Cóż nieszczęsna zrobię!

Pójdę i umrę. Matko moja w niebie,

Przyjmij swe dziecko do siebie,

I powiedz Bogu że życie ciężyło,

Srożej niżeli ścierpieć można było.

Ach! to okropnie! straszno! o mój Boże!

Czyż człowiek i to nawet przeżyć może?

Czyż samobójcy i z takiej rozpaczey,

Twoja dobroć nie przebaczy....

(pada).



NOC SZOSTA JESZCZE.

Późna noc. To samo miejsce.

KRALKA, ALEKSY.

KRALKA ciągle pocichu.

A! witam, witam! cicho!! proszę siedzieć.

(ogląda się)

Kazałam cię prosić, mam ci coś powiedzieć.

Lecz prawdziwie już teraz nie wiem jak przystąpić.

(młczy chwilę)

Chciałabym też trochę i żalu uskapić.

Nowina którą powiem jest dosyć trapiąca.

ALEKSY żywo.

Cóż to! czy się to tycze co mego wesela?

Jeżeli tak...

KRALKA.

A! proszę słuchać mnie do końca.

(zbliża się).

KRAŁKA.

No, cichoż! a pamiętaj na przysięgi swoje.
 Widząc was zakochanych szalenie oboje,
 I oboje ubogich, bez przyjaciół, ręki,
 Bez pomocy na świecie, — pomyślałam sobie:
 Jeśli które z nich zwodzi! O jakież to męki
 Będą znosić na przyszłość biędne dusze obie;
 Gdy siebie mając na tym świecie całym,
 Ujrzą że nawet i siebie nie mają.

To rzekłszy szpiegowałam i z smutkiem nie małym
 Widzę, że ta kobiéta w której spoczywają

Twojego serca nadzieje,

Aniela zwodzi ciebie i z ciebie się śmieje.

Rospacz Pan Fila jest to rzecz udaua,

Siedział z nią tutaj, szeptał od samego rana,

A zaledwie xiadz stulą zwiąże ręce twoje,

Ona ciebie porzuci. Już jemu przyrzekła

Że....

ALEKSY.

Co słyszę! cóż to jest! czyli przez sen roję?

Ona! ona! powtórz mi, powtórz jędzo z piekła!

Powtórz! przysiąż mi, wyznaj że to są potwarze.

KRAŁKA.

Cichoż panie Aleksy.

ALEKSY.

Mów kiedy ja każę!

Bo cię zabiję.!

KRALKA *przestraszona.*

Cichoż! utrapiony.

Bo nie usłyszysz i słowa ode mnie.

Widziałam to, widziałam! Byłbyś dostał żony

Coby cię zdradziła podle i nikeszennie.

A ty głupi byłbyś jój słodkim oczom wierzył.

ALEKSY.

Ach! coż za piorun w serce mi uderzył,

Ona! Aniela!

KRALKA.

Cicho.

ALEKSY.

Nie, nie wierzę!

Ona, co się zdawała tak czule, tak szczerze,

Tak prawdziwie mnie kochać od dzieciństwa swego,

Ona, której me oczy jako skarbu strzeża,

Że nikt się nie przybliży, żebym ja nie wiedział!

Że serca jakby żaden nie rozdzielał przedział,

Wiedziały wszystkie myśli, wszystkie czucia swoje.

To być nie może! nie. Jednak się boję.

Przysiążże ty!

KRALKA *jąkając się.*

Przysięgnę kiedy chcesz sto razy.

(*po chwili*)

O! niewdzięczny, ja w ciągłych staraniach, obawie

Dnie i nocy próżno trawię,

A ty, żebyś chciał widzieć mego serca bicie. —

(wdzięcząc się)

Żebyś się choć domyślił, że tajone skrycie

Są w tém sercu uczucia najczulsze ku tobie.

O! ja to próżno nie robię,

Czyż nie się nie domyślasz?

ALEKSY *zamysłony.*

Domyślam się bardzo!

Mną ubogim i biédnym, pomiatają, gardzą,

I ludzie godnym sądzą, ażebym przed panem,

Był pokrywką miłostek, zbrodni parawanem —

Domyślam się! mąż dobry o nic się nie pyta,

Wierzy głupi swojej żonie;

Ona robi co zechce, na przedanem łonie,

Pieści złotego cielca, — poczwarą! kobieta!

I jam uwierzył!

KRALKA *urazona.*

Lecz, nie o tém mowa!

ALEKSY.

A o czemże? a o czem! jest więc powieść nowa?

KRALKA *wzby się wstydząc.*

Nie powtórzę, bo wstyd mi mówić to dwa razy

Na co lepsze wejrzzenie, czucie niż wyrazy —

Chciałam ci to dać uczuć, że tu w sercu mojem,

Spotkasz miłość straconą, z nowych pociech zdrojem,

To serce cię nie zdradzi, usta nie zawioda,
I może być potrafią twych cierpień osłoda.

ALEKSY *zinnio.*

O! bardzo ci dziękuję. Na co mi pociechy!
Bóg chciał piekłem na ziemi skarać mnie za grzechy —
I ukarał!

KRAŁKA *przysuwa się do niego.*

Pociesz się! Ludzie póki młodzi,
To tylko widzą, co chcą przez serca zrenić,
Na ich rozkaz rumieniec na trupią twarz wschodzi,
W szpitalnej babie witają dziewicę.
A świat dla nich tak czysty, niewinny i złoty,
Że na nim nie widzą prócz niebieskiej cnoty!
I kiedy ich szła pierwszy do reszty opęta,
Żaden nie zobaczy, na nie nie pamięta.
Lecz los co serce rani i pociechy zsyła,
A ręka co ci dalszych nieszczęść oszczędziła
Chciałaby ci dać szczęście! O! kryłam zbyt długo
Że w tém sercu, to serce — tak dla ciebie pała,
Taką miłością, jakiej nie znajdziesz już drugą,
Żadna inna tak ciebie nie będzie kochała!
Gdyby nie to — nie traf ten, możebyś nie wiedział,
Możebym nie wydała tajemnicy mojej —
Dzielił nas dotąd tak potężny przedział,
Że...

ALEKSY *wpatrując się.*

Wdzięezen ci jestem, wdzięezen, lecz w mój duszy stoi
 Zdrada jeszcze tak świeża, rana tak rozdarta,
 Że anioł, że kobieta uwielbienia warta,
 Nic teraz z mego serca prócz krwi nie dobędzie.
 Wszystko krwią zaszło na sercu i duszy,
 Krew i zemstę widzę wszędzie.

KRALKA.

Pozwól krwi i łzom płynąć, a czas je osuszy,
 Wieleż boleści które niezgojone mienią,
 Prędko przejdą i w cichy smutek się zamienią,
 A po smutku niedługim, za krótką żałobą,
 Nowe, droższe rokosze prowadzą za sobą.

Luby, spocznij przy mnie chwilę,

Tak młody, cierpiałeś tyle;

Potrzeba obmyć duszę, w nadziei kąpieli,
 A krew zejdzie i czarny smutek się wybieli.
 Ach, znam ja zdradę! wiem jak serce boli,
 Gdy przyjaciel zada ranę;

Lecz i ta przecież zgoi się powoli.

Ja ciebie nie odstąpię, przy tobie zostanę —

Będą cieszyć, choćby też napróznemi słowy.

ALEKSY.

Cieszyć; ach możnaż cieszyć mój aniele,

Komu na głowę upadł cios takowy,

Nie, to za wiele!

Serce tego nie wytrzyma.

KRAŁKA.

I nie myśl o tém, spocznij koło mnie,

Zapomnij. Tylko sercem i oczyma

Obróć się ku mnie i do mnie.

Może na ustach moich, w słodkim pocałunku

Doznasz ulgi bolowi, rozpaczom ratunku —

Chodź!!

(obejmuje go powoli)

Spocznij ze mną —

Słyszysz to serce, co tak blisko bije!

Słyszysz —

ALEKSY.

To próżno! to wszystko daremno!

Ja nie nie słyszę!! Po duszy się wije

Wspomnienie gorzkie; a rozpacz straszliwa

Zemsty wzywa!

KRAŁKA.

A jestże zemsta lepsza jak zdrajcę porzucić?

Mamże cię błagać, o te szczęścia chwile,

Które choć będę winna zemście i żalowi —

Tak będą dla mnie drogie! Ach! tak, że w mogile

Wspomnienie się ich jeszcze z roskoszą odnowi!

ALEKSY.

Czemużem lepiej wprzód nie ukochał ciebie,

Wierną kochankę i stałą,
Cichą spokojność jak w niebie
Byłbym miał teraz.

KRALKA.

W tém różnicy mało,
Jeżeli teraz, pokochasz mnie za to!
Choć raz mnie ściśnij! to będzie zadatek!

(*uścisk*)

Może później wyrośnie ten miłości kwiatek,
Gdy go żądry przygrzeje i umocni lato.

ALEKSY *rzuca się do niej i ściska ją gwałtownie.*

O! tak, wszystkiego, chcę zapomnieć z tobą —

W pocałunku rokosznym, chodź, chodź, pójdziesz
ze mną.

KRALKA.

Dokąd?

ALEKSY.

Dokądkolwiek byle z sobą,

Wszak i pustynia będzie nam przyjemną
I smętarz. Tak to bywa kiedy się kto kocha —

KRALKA.

Tak.

ALEKSY *przerywając.*

Podobno, ale już zapomniałem trocha.

Tak prędko! — Straszno mi tu w sercu pali.

Ty mnie reszty douczysz.

KRALKA z uśmiechem.

Będziem się wprawiali,
Pomówmy.

ALEKSY.

Na co mówić! Uściśnij mnie miła,
Tak silnie abym o tej zapomniał niewiernej,
Jeszcze mocniej.

(Kralka kaszle trzy razy na znak)

Napróżno!! Ta myśl tak się wbiła,
I ból czuję tak niezmierny,
Całkiem mnie sobą owionął,
I wszystko w sobie pochłonał.

(Aniela wchodzi powoli, patrzy na ich uściski i mówi zimno)

ANIELA.

Aleksy, bądź zdrow! Jutro nie będzie wesela
I nigdy —!

ALEKSY porzywa się,

Ach! to ona! Aniela!

Nigdy — tak nigdy!

ANIELA.

Bądź zdrow!

ALEKSY.

Bywaj zdrowa.

(wychodzi)

ANIELA smutno załamując ręce.

Skończyło się!!

KRALKA,

Winszując. A teraz ci nowa

Brama życia, miłości, szczęścia się otwiera.

ANIELA.

Łzów i śmierci!

KRAŁKA.

O z tego nikt już nie umiera!



NOĆ SIOBNA.

NOC SIÓDMA.

Pokój ubrany bogato i ozdobnie. W końcie lampy w alabastrowych naczyniach. Przez otwarte drzwi z boku słychać muzykę balową, widać tańczących.

ANIELA sama z sobą.

Jakże się wszystko wkoło mnie zmieniło,

Ubogiej, biednej sierocie,

O bagactwach się nie śniło,

O tém życiu, o tém złocie,

O nowych ludziach co mnie otaczają.

Ach! ten świat jakże różny od naszego świata.

Tutaj ludzie się śmiejąc zwodzą, zabijają,

A serce ich jak motyl koło wszystkich lata:

Pełno go, na ustach, wszędzie,

Ale nigdzie nie usiedzie.

Słowa ich miłe, jak wiatr letni ciepłe,
A serca stare, zmarszczone i skrzeple.

O! kto świat pozna, ten swojej młodości

Miłych opamięć zazdrości.

Gdym tu pierwszy raz weszła, wśród wrzawy i blasku,

Serce mi uderzyło od ludzi oklasku;

Słyszałam wkoło słowa miłości, przyjaźni,

I serce ochłonęło z dziecinnój bojaźni —

Bo myślałam że w złotym bożków ziemi świecie,

Jak bracia się kochacie, jak siostry życie.

Myślałam — i mnie uboga

Rękami wespra, sercami wspomoga —

Lecz o zdrado przekłeta, poznałam w tym tłumie,

Że słowa ich są wiatrem, a kto im uwierzy,

Kto w ustach serca przeczuwać rozumie

I do serc na słów wiarę o pomoc uderzy —

Jest jak dziecię, gdy księżyc pierwszy raz zobaczy

I chce go ręką dostać w wiadrze wody,

A potem próżno rwie włosy z rozpaczki!

O serce moje, o mój wieku młody,

Z wami świat mi się wydawał inaczej,

Inszym ja z chatki widziałam człowieka,

Insi bogacze byli mi z daleka.

Nie wiedziałam że Pan Bóg dzieląc darem drogim,

Złoto dał bożkom ziemi, a serca ubogim.

Teraz kiedy znam ludzi, a nie mam nadziei,

Świat pusty, w sercu smutno! —
 O! dość tego życia!
 Czemuż świat się nie skończy, powieka nie skleci,
 Czegóż jeszcze mam doznać? — Czegóż od powicia
 Serce nie czuło, nie przeczulo moje?
 Czegóż jeszcze czekając na tej ziemi stoję?

ANIELA, PAN HRABIA *wchodzi prędko przez drzwi
 od sali balowej.*

HRABIA *z pospiechem.*

Droga panno Anielo! przecie cię tu schodzę!
 Ach! nimem cię odkrył zmęczyłem się srodze.
 Wszystkie sale zbiegałem, mazurów koła,
 I szukałem w nich, mojej Anieli — anioła.
 Nigdzie! pędzę się w ogród! I nie ma i nie ma!
 Idę tutaj. I jeszcze nie dojrzał oczyma,
 Zaledwie tu wpadłem,
 Serce mi uderzyło i ciebie odgadłem.
 Tu nikt nam nie przeszkodzi. Pomówiemy chwilę,
 Luba panno Anielo, ach! ja cierpię tyle! —

ANIELA.

Cóż to jest! dla Boga! czemu?

Czy słabo panu Hrabiemu?

Czy głowa boli?

HRABIA.

Serce, mój aniele!

ANIELA.

Serce! eh, na to ja nie nie poradzę!

Jest jednak doktorów wiele,

Zaraz którego sprowadzę.

Ide—

HRABIA.

Poczekaj! nie żartujże ze mnie.

Zawszeż ja będę wdychać, cierpieć niewzajemnie,

U nóg twych cierpieć i szlochać

I próżno wielbić i kochać;

Czyż nigdy...

ANIELA.

Czegoż żąda pan Hrabia ode mnie

Czy być kochanym wzajemnie?

Ale powiedz pan proszę, [na co się to przyda?

Żebyś ty zyskał kilka chwil ulotnych,

Za które mnie czekają pogarda, ohyda,

Reszta życia w łzach stokrotnych?

Cóż to będzie za miłość, jaka sere zamiana,

Za moje serce cóż zyskam kochana?

Ty zwycięstwo,

Ja męczeństwo.

Bo, żeby los mój biedny osłodzić, odmienić,

Pan Hrabia się zapewne nie zechce ożenić?

HRABIA.

Ach! ożenię się z tobą, ożenię sto razy!

ANIELA.

Dla mnie raz dość by było. Ale bez urazy,
 Pewnie ci teraz Hrabio jakaś wyższa władza,
 Jakiś stryj, matka, albo wuj przeszkadza,
 Pewnie, *dzisiaj* chciałbyś nasycić pragnienie,
 A na *jutro* ożenić.

Prawda?

HRABIA.

Żartujesz najdroższa, żartujesz,
 Kamień jesteś, nie nie czujesz.
 Ja mówię o miłości, ty myślisz o ślubie.

ANIELA.

Bo miłości nie czuję, a kłamać nie lubię,
 I co myślę to mówię. Chceszli prawdy całej?
 Powiem ją. Ddybys dzisiaj przed ołtarz szedł ze mną,
 Czy myślisz że bogactwa i los okazały,
 Że świetna przyszłość z postacią przyjemną
 Powiodły by mnie za tobą, mój Hrabio?
 Niech większe serce takie błyskotki osłabia
 Ja znam was, umiem cenić — i pogardzam wami;
 U nas ubogich, serce zgadza się z ustami,
 A wy jak kropla wody, co brylantem błyska
 Błyszczycie gdy z daleka, gasniecie gdy zbliżka.
 Kłamstwo wasza cecha i rodzime znamie,
 Każdy z was od kolebki, okiem, usty kłamie;

Uczycie się uwodzić całe wasze życie,
 Jak pobielane groby po wierzchu świecicie.
 A, w środku!!...

Mówisz że kochasz,
 Męczysz się, cierpisz i szlochasz,
 Że miłość sen ci odbiera,
 Et caetera, et caetera!!

Nie wiem czy ten z miłości wędnie i usycha,
 Kto noc w noc nie porzuca kart, wina, kielicha;
 Kto w wesołym siedząc gronie —

Śmieje się wieczór z ludzi, którym ścisnął dłonie,
 I przyjaciel serdeczny, z druha i kochanka
 Obmówca, aż znów zacznie udawać od ranka.
 Naprzemian tylko zmieniając słuchaczy

Nikommu z nich nie wybaczy.

Nie wiem czy kochać może i czy te łzy roni,
 Kto co dzień inną piękność po ulicach goni
 I chciałby zyskać wszystkie nie dając się żadnej —
 Hrabio! znamy się dobrze — kłam gdzie ci uwierzą —
 Znajdziesz wiele łatwiejszych, bogaty i ładny,
 W jedną pierś złoto, w drugą twe skarby uderzą.
 U mnie tém nie nie zyskasz. Udajesz daremnie,
 Szkoda pracy i czasu — odezep się odemnie!

HRABIA.

Ostąpiłem! prawdziwie, ach! panno Anielo,

Czuję że możesz słusznie na ten świat narzekać,
 Lecz boleść cię błędami oślepiła wiele.
 Zechciój lepiej mnie poznać i z zdaniem poczekać.
 Moje serce — tak stałe.

ANIELA.

Prawda! nie mów dalej,
 Oszczędzam ci słów próżnych. — wychodzę do sali.

HRABIA *wstrzymując ją.*

To ja lepiej uchodzę, żegnaj — nie na zawsze,
 Może z czasem to serce będzie mi łaskawsze,
 I może się przekona,

(wychodzi)

ANIELA *sama.*

Pewnie się przekona,
 Że jak sto innych, potem byłabym wzgardzona,
 Ze świętnego uciech bału
 Odprawiona do szpitalu.
 Precz z wami!

Jeden tylko, jeden tylko może,
 Może jeden Staś w tym tłumie,
 Co jeszcze kłamać nie umie —
 Lub tylko lepiej od nich! O Boże! o Boże!
 Kto wie? ten wyraz oczu, anielska prostota,
 Nie jestli kłamstwem, podejściem i zdradą?
 Czas mi i to odkryje; a zasłona złota,

Znów rozdarta ukaże pierś trupia, twarz bladą
A serce uschłe, zimne, serce trupie!

(*po chwili*)

O myśli dziwne, o marzenie głupie!

Dziś, Staś może kochać szczerze,

Lecz biada mi, jeżeli w tę miłość uwierzę.

Świat go odmieni, z anioła, dziecięcia,

Zrobi tyrana, samoluba, zwierzę,

I we łzach się zakończą chwile wniebowzięcia,

A czas miłość i szczęście i serce zabierze.

Staś się odmieni, rozumnym się stanie

Jak ci panowie i panie,

Co się rozumnymi mienią.

Kiedy im serce na kamień stwardnieje,

Kiedy dla złota, rzucają się, żenią,

Kiedy młodości marzenia, nadzieje —

Na samolubne rachuby odmieniają.

ANIELA, STAŚ *wpada z sali*.

STAŚ.

Moja panno Anielo! zrób mi łaskę jedną?

ANIELA.

Ja łaskę? O nią prosić czyż można mnie biedną?

STAŚ.

Grają walca — tańczuj ze mną!

ANIELA.

Ja nigdy nie tańcuję. Daremno, daremno —

A jeszcze walca

(do siebie)

i z nim!

STAŚ.

Proszę! bardzo proszę!

Raz moja panno Aniela!

Ja dawno to życzenie w sercu mojem noszę —

Lecz nim me usta wyrzec się ośmiała —

Długo się waham, bo się boję ciebie.

Panno Aniela! pozwól mi być w niebie!

Patrz! ile się tam wesołych par zwija,

He serc po parze bije.

A ja sam jeden, mnie ręka niczyja,

Serc nie wabi niczyje.

Ciebie chcę tylko. Chodź, o życie moje!

(Aniela opierając się wychodzi)

Idziesz!! ach teraz w progach raju stoję!!

(w sali balowej. Muzyka gra walca, wszyscy się kręcą).

staś walcując z Anielą.

Daléj, daléj, graj wesoło,

Walca graj!

A my puścmy się tak w koło.

Schył się na mnie, rączkę daj.
 Głowę spuść na ramie moje
 I zapomnij o tym świecie!
 Jedną nogą w niebie stoję;
 Ach! choć raz w niem jestem przecie!
 Lecz tu luba czyż bez ciebie,
 Bylbym w niebie, będąc w niebie?
 Lećmy, lećmy moja droga,
 W oddalony marzeń kraj!
 Już ziemi nie tyka noga,
 Prędzěj, żwawiej walca graj!!
 W koło światła, nikną, błyszcza,
 Ludzie, świat, wszystko się kręci,
 W uszach moich wiatry swiszczą,
 Nie mam wzroku ni pamięci —
 Lećmy, jeszcze niebios bliżej,
 Lećmy, luba jeszcze wyżej!!
 Nie ustawaj! tylko chwilę!!
 Z tobą luba, oko w oku,
 Kiręciłbym się tyle, tyle —
 Od dnia do dnia, z lat do roku.
 Ręką obejmując ciebie,
 Oddychając twym oddechem,
 Leciałbym, leciał z pośpiechem —
 Czy ty czujesz żeśmy w niebie;

I tę chwilę zachwycenia?

Wszak to, raj —

Dłużej, dalej do znużenia,

Ach! do samej śmierci graj!!

W głowie myśli wirem płyną,

Nie nie mówim, lecz wejrzeniem

Wszak rozumiem się dziewczyno,

Oczu blaskiem, rąk ścisnieniem.

Wieniec z róż mamy na głowie,

Lampy w gwiazdy się zmieniają,

Wszyscy ludzie, aniołowie —

A światy walca nam grają!

Prawda, prawda żeśmy w niebie?

A to ja uniosłem ciebie!

Ziemi nie ma, nie ma sali,

Widzisz tylko punkt w oddali,

Czarny, brudny, na błękiecie —

Tam to ziemia, moje życie.

Bodaj my tam nie wracali,

Lećmy prędzej, lećmy dalej!!

Obłok niesie nas skrzydlaty,

A pod nami lata płyną,

I wiek z chwilą, rok z godziną,

I chwila równa się z laty.

Czasu nie ma, nie ma świata,

Ginie wszystko! Mój aniele
 Cóż to za strona bogata,
 Jak tu szczęścia wiele!
 Zawsze jedno, zawsze różne —
 Zawsze razem, zawsze życzym,
 Jakby dwie gwiazdy podróżne,
 Biedz, nierozdzielni niczém.
 I nie nie mówim do siebie,
 Tylko oddechem, wejrzeniem.
 Blaskiem oczu, rąk ściśnieniem!
 Bo tak rozmawiają w niebie,
 A dusze nasze złączone,
 O, jakże się rozumieją,
 Obie w jedną stronę,
 Nie jak dawniej za nadzieją,
 Lecz kędy wiatry powieją,
 Bo im wszędzie,
 Równo będzie.
 I gdzie powiew iść rozkaże,
 Zawsze dobrze, byle w parze.
 A gdzie pójda, gdzie polecą
 Zaćmią raj, piekła rozświecą.
 Dalej luba, dłoń we dłoni,
 Oko w oku, skroń przy skroni,
 Czy słyszysz jak światy grają?

Czujesz rajska woń do koła?

Widzisz jak wszędzie migają

Skrzydła i uśmiech anioła.

Daléj, daléj!

(muzyka przestaje grać, tańczący stają)

Cóż to? świat?

Ziemia znowu? ten sam kraj?

Wieleż błądziliśmy lat?

Gdzież się podział ten nasz raj?

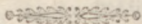
Wszak to sala! lampy gasną,

W koło ciemno, duszno, ciasno.

Prócz ludzi nikogo w sali!

Ach! dla czego grać przestali!!

(Aniela zaploniona ucieka).



N O C Ó S M A.

SABBAT.

Dolina między górami.

GEOS PIERWSZY.

Księżyc się chmurą zasłania,
Północ bije, czas nam, czas!
Wstańcie z twardego posłania,
Czarownicy, wzywam was!

GEOS DRUGI.

Patrz, z północy niosą burze,
Tłumy duchów, tłumy chmur,
Tysiąc mar na każdej chmurze,
Leci na wierzchołki gór.
Tam na smoku rycerz leci,
Zamiast miecza w rękę żmija,
W oczach jego płomień świeci,
Płomień bucha, miecz się zwija!

Za nim kozłów jedzie para,
Zaprzężona w obłok płowy,
A w obłoku wiedźma stara,
Z koroną węzów u głowy.
Za nią podlatują żaby
I krwi żywej płynić struga, —
Lecą na łopatach baby,
Jedna chuda, tłusta druga,
Trzeciój kości z ciała świecą,
Wszyscy krzyczą, wszyscy lecą.
Tam na czole w chmur turbanie,
Podskakuje trupia głowa —
Słyszać jęki, krzyk, świstanie,
Jakieś śmiechy, jakieś słowa —
Ale w wrzasku, krzyku, szumie,
I w tym biegu bez oddechu —
Nikt ich mowy nie zrozumie,
Nierozśmieje się z uśmiechu.
Dalej kości różnej miary,
Grzbiety, ręce, żebra, nogi,
Lecą i idą bez drogi,
Podzieliwszy się na pary.
Za niemi czarnoksiężnicy,
Z laską w rękę, wzrok ponury,

A szata ich z błyskawicy,

A powozami ich chmury.

GŁOS TRZECI.

Gdzież to wojsko z wiatrem leci?

Gdzie ten tłum bieży tak skoro?

Tam daleko światło świeci.

Wrzaski słyhać, ognie gorą;

Tam w dolinę lecą oni.

GŁOS PIERWSZY.

Dzisiaj sabbat, północ biła,

Każdy śpieszy, bieży, goni;

Sabbat! o chwila radości!

Nie zatrzyma nas mogiła,

Z piekła duszę, z grobu kości

Idą, lecą! nie nie strzyma.

O! nad sabbat nie nam nie ma —

Sabbat! sabbat już w około,

Szatan obwoływa święto,

Wszyscy się cisną wesoło.

Sabbat! zaczęto!

GŁOS DRUGI.

Czy widzisz dokąd się wleka?

Między górami dolina

Leży przedzielona rzeką,

Nad nią las wierzchołki zgina;

Nad nią czepiają się w skałe
 Czarne jodły, chwasty, głogi,
 Popłątane poufale.

Nigdzie nie dopatrzysz drogi,

Nigdzie śladu ludzkiej nogi,

Nigdzie zwierz nie stał gniazd blisko;

Tylko w górze niebo mgliste,

W dole, przez rzeki łożysko,

Strumienie pełzną nieczyste.

Wkoło skały i parowy,

Wkoło drzewa smutne, czarne,

Skrzywione, suche, poczwarne,

Trzęsą schylonemi głowy.

Nawet ptak tędy nie leci,

Nawet księżyc idąc górą

Kryje się w chmury, nie świeci

I zasłania twarz ponurą.

Nigdzie życia. Jedna rzeka,

Szemrze, płynie i ucieka,

Nigdzie życia, z drzew gałęzi,

Jęk płaczliwy wiatr wyciska,

One wśród tego siedliska,

Płaczą na wiecznej uwięzi.

GŁOS z góry.

Tu gdy sabbatu godzina,

Wybije w zegarach piekła,
 Tłum mar zbierać się zaczyna,
 Leci, bieży, ciżba wściekła!
 Duchy, trupy, kości, mary,
 Gdy szatan północ obwoła,
 Z mogił, z piekielnej pieczary,
 Zewsząd się cisną dokoła.
 Tu szatan dla swoich braci,
 Piekielnych roskoszy chwilą,
 Za wieczne męki im płaci.
 Tutaj na radość się siła
 Ci co na wieki przekłęci,
 Lub w piekle gorą za grzechy,
 Lub z ziemi jeszcze nie wzięci,
 Wołą piekielne uciechy
 Nad niebieskie łzy i bole,
 I w szatanów stają kole,
 Dzielić wcześniej ich radości,
 Nim z Bożej sprawiedliwości,
 Podzielać będą ich bole.

GŁOS DRUGI.

Sabbat! wybiła godzina
 Lecz wszyscy z piekła, z ziemi,
 Trupy z trumnami swojemi.
 Z kochankiem swoim dziewczyna,

Czarownica z swoim kotem,
 Czarnoksiężnik z trupią głową,
 Lecz z wrzaskiem i łoskotem
 Na dolinę Sabbatową!
 A tu już gotują bięsy,
 Ucztę świętą — ognie wkoło
 Toczą beczki, wloką misy,
 Ścielą łoża i wesoło
 Pokrzywami wieńczą czoło,
 Puhary stawiają wkoło,

Jadła, napoje.

A tłum się zbiera,
 Każdy śpieszy, każdy swoje

Miejsce zabiera.

Zmije, olbrzymy i karły,
 Nietopérze, sowy, smoki,
 Upior, żywy i umarły —
 Zalały parów głęboki
 I okryły gór tych boki.

Każdy wziął kochankę sobie,
 Ten kozę pieści, ten żabę,
 Ten trupa wziętego w grobie,
 Ten starą spruchniałą babę —
 Ówdzie, szatan co od wieka
 Poprzysiągł gubić gdy może —

Z dziewczyną młodą ucieka
 Na ognistych uciech łożę,
 Tam mnich w ognistój koronie,
 Z wiecznych ucieklszy boleści,
 Na łonie

Trupa kochanki pięści.
 Tamci dopadłszy puharów,
 Na ziemi, w wodzie, na chmurach,
 W drzew gałęziach, w głębi jarów
 I na łysych wiszą górach.
 Wszyscy wesoło śpiewają
 I wszyscy śkaczą parami,
 Krzyczą i w ręce klaskają.

GŁOS PIERWSZY.

Sabbat, przed nami!
 Sabbat, powtarzają echa;
 Sabbat, powtarzają drzewa;
 Wszędzie wre, szumi i śpiewa
 Roskosz, uciecha.

GŁOS DRUGI.

A nad niemi chmury blade,
 Pod niemi dolina dzika,
 W około góry,
 Środkiem rzeka.

Dymy kłębamii płyną nad zgrają,
 Ogień płomieniem,
 Drzewa ich cieniem,
 W koło ściskają.

GŁOS Z GÓRY.

Biada ziemskiemu oku, co się tutaj wdarło
 Oglądać piekiel skryte tajemnice,
 Na to mieć trzeba umarłą zrenicę,
 Lub duszę umarłą.

Słyszycie gwar ten, jak bucha,
 Brzęk, krzyki, śmiechy, oklaski,
 Nie dla ziemskiego ucha
 Piekielne wrzaski —

Ale ten kto swoją duszę
 Za roskoszy przedał chwilę
 Na wieczne katusze,
 Niech leci, przyjmą go mile —

GŁOS PIERWSZY.

Niech leci, północ wybiła,
 Szatan obwołał święto,
 Twarz się księżycza zaćmiła,
 Sabbat zaczęto.

Na dolinie.

**SZATAN, CZAROWNICA, UPIOR, ŻYD FAKTOR,
DOKTOR.**

SZATAN.

Proszę tu państwa, proszę,

Wielkie pytania wnoszę.

A kto rozwiąże pytanie

Co chce ode mnie dostanie:

Jeżeli upior, upiora zawiodę

Gdzie ze stu trupów co noc świeżych będzie

Pięć ciepłą krew jak wodę,

Jeśli żywy, to dam mu do szczęścia narzędzie,

Worek złota!

Jeżeli szatan w sabbat mu wyswatam

Najsłodsza czarownicę.

A cóż? jest ochota?

I rzecz nie mała! już rok za nią latam,

Chcę uwieść tylko jedną dziewicę —

Ubogą, nieszczęśliwą,

I wystawcie sobie,

Wszystko co mogę robię,

I wszystko daremno.

Byłem sam, śmierć i baba, filozof, bogacze,

Ona jak była, tak i jest cnotliwa,

W nieszczęściu nie płacze,

Szczęście jój nie porywa,
 I nikt jój sercem nie zyskał, ni złotem,
 Mówcie co myślicie o tém?

UPIÓR.

Ja, naprzód: słuchaj! dam ci dobrą radę,
 Rzuć ją w świat wielki, pomiędzy bogacze,
 Gdzie rokosz rokosz, biesiada biesiadę,
 Goni bez końca. Kędy nikt nie płacze,
 Bo nie ma płakać, ni pomyśleć czasu;
 Gdzie pełno wrzawy, hałasu,
 Gdzie ją omamiał, otoczą —
 Splącą myśli, serce zgłuszą.
 Pótem — zostaw odludną. Oczy się zamroczą,
 A pokój się jój wyda nieznośną katuszą,
 I jak ja z grobu powstanie;
 Gdzie wrzawa, blaski,
 Zamęt, oklaski,
 Pójdzie i zgrzeszy! Wiedz o tém szatanie:
 Będzie szukała rozrywki, zajęcia,
 Ohydzi pracę. Wówczas użyj lada kogo,
 Jak swoją wezmiesz duszę dziecięcia.

SZATAN.

Te! takie stare rady skutkować nie mogą,
 Ona — jak ty na świecie, ale nie ze świata,
 Wśród balów, myślą kędy indziej lata,

I wrzask ten ją nie zagłuszy,
 I wzrok nie dójdzie duszy.
 Szału nie lubi. Raz ją był ochłonał,
 Lecz rozum przyszedł — on wionął:
 Na myślach i marzeniach czas popędza cały,
 I lata gdzieś (do nieba) bo świat jej za mały.

ŻYD FAKTOR.

Jasny panie

Szatanie!

A mnie wolno dać radę?
 Ja naprzód pieniądź kładę:
 Dać dukacików dużo,
 Te najlepiej służą —
 My tym sposobem mniszki z klasztorów wodzili,
 Kraty łamali i stróżów uspili;
 Za pieniądze stawieć szyję.
 Niech Jasny pan mnie użyje?
 Czego Jasny pan się gnicwa?

SZATAN.

Tu złoto nie nie nada, rada pospolita,
 Ona raz była bez niego szczęśliwa,
 I gardzi niém uparta, przeklęta kobieta.

CZAROWNICA.

Ksiedza jakiego namów niech ją zwiedzie,

Młoda wierzy w świętość księży,
 On ją powoli zdaleka podjedzie —
 I zwycięży.

SZATAN.

O! był już tam filozof, filozof nie lada;
 Byli i księża młodzi — głupia twoja rada,
 Dobra dla ślepego tłumu,
 Ona ma nadto rozumu.

DAKTOR.

Nadto? hm! na to można coś poradzić —
 Od rozumu odprowadzić!

Łatwo dać na pomieszczenie,
A mente capta na wszystko przystanie,
 Zgrzeszy sto razy. Choćby opium trocha,
 Zaśnie rozumna kobieta,

I z rozumu kwita,

A potem niech sobie szłocha.
 Chcesz znów, to inną receptę jój damy —

Elixir kantharydowy:

Do serca i do ciała otworzy ci bramy

I rozum wypędzi z głowy.

SZATAN.

I cóż z tego warjacie?
 Obląkana lub śpiąca wszak nie zgrzeszy duszą;

Czy lepszej rady nie macie?
 Próżno się wam mozgi suszą?
 I jedna, jedna kobieta zwycięży,
 Tyle głów, tyle oręży?

UPIOR.

Poślij jeszcze poetę — jak ją czmucić zacznie,
 Świat zamydli, ozłoci, ubieli, zrumieni,
 Wszystko wystawi opacznie,
 Aż ją nareście obłąka, odmieni:
 Oczom i rozumowi swemu nie uwierzy,
 Wtenczas zwycięży kto pierwszy uderzy,
 Łatwo głowę zawróci najmędrzej dziewczynie,
 Latając z nią w poetów kłamanej krainie.
 Nieznacznie ją ktoś wówczas obejmie, utuli,
 A tak — sądząc się w niebie kochankowie czuli,
 Pójdą do piekła sobie.

SZATAN.

Nie zła rada — ha! tak zrobię,
 Jeśli i to nie pomoże —
 Urząd kusiciela złożę —
 I widząc że nie piekłu nie służę,
 Będę próżnował na emeryturze.

NOC DZIEWIĄTA.

*Na górze lasem okrytej, Ustóp jej rzeka, dokoła
widoki. Poeta siedzi zadumany, głowa wzniesiona
do góry.*

SZATAN.

Poeto pytam ciebie

Za czém gonisz po niebie,

O czém marzysz głęboko,

Gdzie myśli uleciały,

Gdzie utonęło oko?

Gdzie utonąłeś cały?

POETA.

Jestem w krainie marzeń, kędy laury rosną,

Kędy słońce nie zachodzi,

Gdzie ziemia pod wieczną wiosną

W jednym dniu kwitnie i rodzi.

Jestem w kraju poetów, kędy zapał świeci,

Gdzie pieśni rzekami płyną,

Rędy godzina wiekiem, wieki są godzina,
 Gdzie czas bieży i staje i pełźnie i leci—
 Kraj ten się zowie marzenia krainą.

SZATAN.

Cóż tam widziałeś poeto młody,
 W chwili natchnienia?

POETA.

Widziałem rajskie Edenu ogrody,
 Gdzie się nie nigdy nie zmienia!
 Gdzie świat wesoly i młody
 Żyje pieśniami, a wonią oddycha;
 Rędy snu nie ma, żalu i cierpienia,
 Gdzie nikt nie płacze, nie wzdycha.
 A anioł, co wam wejścia do raju zabronił,
 Przede mną na twarz upadł i groźny miecz skłonił;
 Ja wszedłem—jasne niebo świeciło nade mną,
 I cicho było dokoła, —
 Jak kiedy skrzydło anioła
 Nad światem leci w noc ciemną.
 I słyszałem, jak kwiatki gadały do siebie,
 Jak się gwiazdy toczyły, spadając po niebie
 Gdzieś daleko w morze wpadły
 I w konchach się perłowych długo spać pokładły.
 Usiadłem na lotusie, płynąłem po morzu,
 A w koło było ni jasno, ni ciemno,
 Ja, zawieszony w przestworzu,

Niebo miałem pod sobą i niebo nademną.
 A zdaleka śpiewały wonne listki róży
 I jaśminu dźwięk cichy przypływał z wiatrami!
 Za przewodnika podróży —
 Miałem motyla z złotemi skrzydłami.
 I płynąłem.

SZATAN.

Poczekaj. Dobrze ci tam było?
 Nie ci nie brakło? O dziwy!
 Wszakże samemu i w raju niemiło,
 A ty sam jeden mógłżeś być szczęśliwy?
 Cóżby Adam poradził,
 Gdyby Bóg łaskawy
 W raju Ewy nie posadził?
 Niebo smutne i raj łzawy,
 Kiedy w nich pusto! Bo tylko we dwoje,
 Tylko we dwoje na niebie i ziemi
 Szczęście być może. Byłoz serce twoje
 Syte roskoszami temi?
 O nie! poeto zejdz i spójrzyj nisko,
 Z ziemi do raju wprowadź duszę drugą:
 A raj ci będzie tam, gdzie jej siedlisko,
 Życie ci będzie chwilą szczęścia długą—
 Ty będziesz dumał, a jój myśli razem
 Z twemi myślami do nieba polecą,

Uśniesz, a we śnie, rokoszy obrazem,
Czarne się sny twe rozświecą.

POETA.

Ale gdzież znaleźć duszy mej połowę?

SZATAN.

Patrz! spuść głowę —

Widzisz tam, w tym pałacu, siedzi zadumana,
A nad głową jej gwiazda, a w sercu jej rana,
Biedna! spogląda po niebie,

I czeka na ciebie!

Idź poeto — idź tam do niej —

Przy jej sercu, w jej uścisku,

Dopiero się raj odłoni,

Jako świat w piorunów błysku!

Idź poeto, idź ze drżeniem,

Owion ją piersi oddechem,

Ośłoń ją rajskiem marzeniem,

I prowadź, prowadź z pośpiechem,

Kędyś wędrowniku młody,

Odkrył Edenu ogrody!

Na drodze niech cię nie zraża

Strach, łyż towarzyski twojej,

Serce się zwolna rozżarza

I długo szczęścia się boi.

Lecz gdy się dusze ożenią,

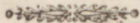
Gdy się serca rozplomienia —

Uciecze bojaźń, łyzy i niepokoje.
Wszystko uciecze — zostanie was dwoje.

(szatan znika)

POETA.

Lecę za nią! lecę do niej,
Serce pragnie, myśl ją goni,
Dusza się ze mnie wyrывa!
Przybądź godzino szczęśliwa,
Kiedy to serce drugiemu uderzy!
Miłość uczuje i w miłość uwierzy.
Kiedy dwie dusze się zleją,
Kiedy zaświeci z wiarą i nadzieją
Gwiazda szczęścia trój-promienna!
Gdy pojąca mej duszy Gehenna,
Co spaliła lata młode,
Rzuci się w długą, rokoszną ochłodę!
Witaj chwilo poczęcia,
Witaj mi świecie nowy,
Przed tobą z posłuszeństwem, radością dziecięcą,
Uchylam głowy!
Duchu mój, prowadź, w nieznaną krainę —
Lecz bym tych miejsc już nie rzucił,
Niech ślad naszych nóg zaginie,
Abym już nazad nie wrócił!



NOC DZIESIĄTA.

Pokój wykwiłtnie ubrany.

ANIELA *sama.*

I ten mnie zdradził! i on! i to dziecię;
Więc prawdy nie ma na świecie —
Nie ma jój! Gdy przysięgał że kocha mnie jedną,
On we mnie tylko kochał cały ród kobieci.
O! miłość jest marzeniem, uroki jój błędną —
Gdzie rozum doświadczeniem na chwilę zaświeci,
Jest tylko krwi łańcuchem albo workiem złota!
Dziwna zagadka i bez odpowiedzi!
Wierzyć w miłość na ziemi, w tej kałuży błota,
Gdzie każdy sobie i dla siebie siedzi;
Marzyć kochanków, marzyć przyjacieli,
Jest to myśleć że zwierz dziki,
Zwabiony twojemi krzyki,
Z tobą się pastwą podzieli.

O! u jednych poetów świat inszej urody,
 Pełen miłości, pokoju i zgody;
 Zawsze różowy i młody.
 Lecz kiedy piją rososz z niebieskich puharów,
 Często im z rąk wytrąca,
 Ten napój, uwarzony mocą tajnych czarów,
 Boleś, nędza, cierpienie, lub zawiś szczypiąca,
 Która ich w zimny świat spycha —
 Wówczas poeta wędnie i usycha.
 A na ich grobie, świat szydząc szkaradnie,
 Męczennikom laury kładnie.

ANIELA POETA.

POETA.

Witam cię, gwiazdo moja na pochmurnem niebie
 Witam cię sto kroć, witam!!

ANIELA.

Witam ciebie.

POETA.

Jak muzulman do Mekki, a gwebry do słońca,
 Ja się do ciebie luba z modlitwą obracam,
 I w twoją stronę patrzę i patrzę bez końca,
 I z tamtąd nigdy myślą i sercem nie wracam.
 O! gdybyś usłyszała modlitwy i żale,
 O! gdybyś łązy zliczyła, co płyną w twą stronę;
 Ledwie od ciebie chwilę się oddalę,

Ku tobie oczy już patrzą zwrócone.

Jak drzewo z ciepłych wysadzone krajów,

I między zimne przeniesione lody,

Ssycła nad brzegiem nie swoich ruczajów,

Nie pijac słońca, ni rosy, ni wody:

Jak drzewo, w tamtą obracam się stronę

Ku memu słońcu i ku mojej ziemi,

Umrę a oczy jeszcze tam zwrócone,

Pójdą o luba, za stopami twemi.

— *ANIELA uśmiecha się.*

Powoli świat te zapaly ochładza,

W starszém sercu niszczyje poezyi władza,

Póki w świat czarownemi patrzysz jeszcze oczy;

Świat twój czarowne szaty dla ciebie obłoczy,

Lecz gdy z ocz zasłona spadnie,

Zwiedzisz się, zwiedzisz szkaradnie,

Jakbyś z siódmego spadł nieba;

Ujrzysz nudy i pracę, ciężki znój dla chleba,

I ciężkie życie na plecach jak brzemię —

Pioruny w niebie, w błocie całą ziemię.

— *POETA.*

Nie! nie! dla mnie nie będzie obudzenia chwili;

Będziem żyć jakeśmy żyli,

A gdy się sen ten zakończy

Bóg wezmie dusze i w niebie połączy.

(*pochwili*)

Luba! czyli pamiętasz kiedyśmy tam w niebie
 Poznali się, przed świata i czasu stworzeniem,
 Kiedyśmy zawsze razem przy sobie, dla siebie,
 Młodość naszą spędzili, pod niebios sklepieniem;
 Czy pamiętasz, jak patrząc na stworzenie świata,
 W kąteczku niebios drżeliśmy oboje —
 Tak jak gdybyśmy losy przeczuwali swoje,
 Losy, które za długie czekały nas lata.
 Czy pamiętasz rozstanie? straszna chwila była,
 Kiedy Bóg nam rozkazał zlecieć na tę ziemię —
 I jedna dusza nasza, na dwie się rozbiła —
 I obie poszły dźwigać ciężkie życia brzemie —
 Pamiętasz? któż zapomni te rozstania chwile?
 Po wiekach nieprzerwanych pokoju i nieba,
 U źródeł szczęścia wypiszą go tyle —
 Czegoż nam tutaj szukać było trzeba?
 Straszna chwila, bo płakać nie było czém w niebie,
 Straszna chwila, błagania na cóż by się zdały?
 Straszna! dwóm duszom oddartym od siebie
 Wiekiem się chwile rozstania zdawały.
 Wtenczas się Bóg zlitował nad dwóma duszami,
 Które nic oprócz siebie do szczęścia nie miały,
 I pozwolił by tutaj, za nieba bramami,
 Dawniej sobie tak lubie, znowu się poznały.

ANIELA.

Lecz przypatrz się poeto — czy cię co nie zwodzi?

Może się serce myli. Bo z tych dziejów nieba

Mnie nic na myśl nie przychodzi —

Może się omyliłeś, jeszcze szukać trzeba,

Szukać, póki nie znajdziesz tej która przypomni

Jakście w niebie żyli szczęśliwi, kochali;

Moje serce poeto nie tego nie pomni,

Mylisz się — szukaj, szukaj jeszcze dalej.

POETA.

Nie, jam się nie omylił, nie! my z tobą w niebie

Żyliśmy dawniej, ale strapić tu tyle

Przeszło po sercu, ogłuszyło ciebie,

I zapomniałaś owe rajskie chwile.

O! chodź w moje objęcia, chodź luba do nieba,

Skrzydeł nam nawet do lotu nie trzeba,

Dwa serca nasze za skrzydła posłużą —

ANIELA.

Na cóż tak długo męczyć się podróża?

Ażeby znowu zlecieć tak jak wprzód?

Po co? Wszakże i tutaj, zapalcieże młody,

I na ziemi wybrańcom szczęśliwym sągody —

Gdzieś w ustroniu, bez przepychu,

Siedzieć, żyć sobie pocichu,

Pracować, modlić i smuć się razem —

Nie jestże szczęścia ziemi najwyższym obrazem?

To razem całe ziemi rokosze zamyka,

Bo nie ma szczęścia — a cierpieć we dwoje,

Największa rokosz ludzi.

PORTA.

Niech cierpieć przywyka

Komu zamknięte raję poetów podwoje,

Lecz kto sercem lub myślą nad ziemię ulata,

Nie zna co są łzy, bole i cierpienia świata —

Nam w eterowej wzniesionym przestrzeni,

Nie szczęścia nie zaciemi, pogody nie zmieni.

ANIELA.

A długoż?

POETA.

Zawsze.

ANIELA.

Zawsze! marne słowo;

Człowiek jesteś i miałbyś zawsze jednakowo,

Zawsze być szczęśliwym, nieszczęśliwym zawsze?

O! nie. Biednym się nieba uśmiechną łaskawsze,

Szczęśliwym burze zaryczą;

Życie jest mieszaniną rokoszy z goryczą —

Nie ma *zawsze* dla człowieka.

Czas ucieka,

Śmierć go czeka.

A w życiu jak w podróży

Widzi naprzemian tysiączne obrazy:

Ścieżki słane liśćmi z róży,

Gaje, ruczaje i głazy.

Ale, nim jedna róża, pustynie sto razy

Jego się oku rozwina —
 A potem, róże i pustynie zginą.

Znów oko z inną spotka się krainą.
 Tak zawsze człowiek podróżny
 Uczucia zmienne i widok ma różny
 I nie może się kazać zastanowić sobie —
 Aż — w grobie!

POETA.

Smutno! skądże ci takie myśli przyplęły?

I mnie wychowawca raju
 Czarną szatą obwinęły.

Ach! wyszedłem z marzeń kraju!

Smutno — dokoła — (*wzdycha*)

ANIELA.

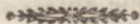
Smutno! o poeto!
 Czegóż świat nie uczyni, kiedy jedno słowo,
 Kiedy słowa kobiety, tak ci serce gnieta!
 I ty marzyłeś szczęście, zawsze jednakowo —
 Zawsze pod niebem i w niebie!

Biedny! ty nie znałeś siebie!

POETA.

Czarno, smutno dokoła —
 Chmury zawisły u czoła,
 Burze na nie wschodzą,
 Pioruny w nich się rodzą,
 Ciemności mnie otoczyły,

Nie mam odwagi i siły —
 Rospacz mi w sercu osiadła,
 Nał czole bojaźń wybladła.
 Przyszłość czarna, głucha, pusta,
 Serce z głazu, z lodu usta —
 Ludzie zimni, wkoło lody!
 Anioł zamknął raju bramy,
 Świat przed chwilą taki młody,
 Teraz już mi nie ten samy —
 Stary, drżący i zgrzybiały,
 Od piersi swoich odpycha,
 Ranami pokryty cały —
 Synom podaje truciznę z kielicha,
 Którego brzeg tylko słodzi —
 Gwiazd nie widać, a słońce na wieki zachodzi.
 Ach! cóż za zmianę zrobiły twe słowa,
 Bywaj zdrowa — bywaj zdrowa!!



NOC JEDENASTA.

*ANIELA na tótku, w izdeóce chatki matczynej —
obtakana i chora. SZATAN na progu.*

ANIELA.

Matko ! nie wstawaj, ja nie jestem chora,
O ! mnie tak słodko, tak dobrze przy tobie,
Tam długo byłam biedna, długo aż do wczora
Byłyśmy rozłączone, nieszczęśliwe obie —
Teraz jesteśmy razem, zaśnij. Twoje dziecię
 Jest szczęśliwe, hyle z tobą,
Bez ciebie bardzo zle było na świecie —
 I serce miało obszyte żalobą,
 I duszę smutną i spuszczone czoło,
 I usta blade i twarz niewesołą.
Ach ! tu w tej chatce z wami rodzice kochani,
Lepiej jak w tamtój zbojeckiej otchłani,
Gdzie świat strutym oddechem obwiewa swe dzieci.

W serce jad leje, póki nie zaślepi,
Póki ofiara sama w gardło mu nie wleci —

O! tu spokojniej, tu lepiej!

Tyle tu wspomnień zostało!

Tum ja w kolebce spała, kiedym była mała,

A świat mi cały był u piersi matki,

A przyszłość się kończyła u progu tej chatki.

Tu, w tym ogródku, rwałam złote kwiatki

Które u twego łóżka sypałam o mamó!

Teraz tu nie tak samo,

Chwasty w ogródku zarosły,

Ścieżki mi zakryło ziele,

Drzewa się dziko podniosły,

Lecz nikt ich nie otrzęsa, nikt kwater nie piele,

Bo mnie tutaj nie było!

Ja się tu zaraz rzucę, oczyszczę, zasieję,

Aż spójrzeć będzie miło.

W ogródku ci posadzę miłość i nadzieję,

Miłość której twoje dziecię,

Resztę z twych piersi wysaną,

Długo nosiło po świecie,

Przyniosło niepokalaną!

Posadzę ci nadzieję, wyrośnie pod nieba,

Nadzieję, którą łzami podlewać potrzeba;

Posadzę ci wesele i szczęście na grzędzie —

Jeżeli wejdzie, bardzo dobrze będzie;

Bo rzadko wschodzi,
 Rzadziej rodzi;
 Słońce mu za chłodne,
 Niebo nie dosyć pogodne
 I zima nadto bliska
 I gad się w liście weiska —
 Soki wysysie, wypije,
 I już szczęście nie żyje,
 Posadzę uśmiech słodki, co kwitnie różowo,
 Z którego wianek ci splecę
 I powieszę ci nad głową.
 Posadzę ci niewinność i białuchną cnotę —
 Posadzę [m]emi rękami,
 Poleję mojem i łzami,
 Rozgrzeję piersi mych technieniem
 A po zimie, z wiosną,
 Pod słońca promieniem,
 Kwiatki ci wyrosną —
 Kielich ich w dzikim ogródku zaświeci,
 Woń ich do ciebie doleci.
 O matko moja! o mój ojciec stary!
 Z nich kiedy przyjdzie Matki Boskiej święto,
 Splecę wianek miłości, nadziei i wiary,
 By go w kościele na ołtarz przyjęto. —
 A poświęcony zawieszę nad łóżem,
 Pod nim spokojnie spać mozem —

Gdzie Matki Boskiej skrzydło zaświeci,

Tam szatan nie doleci —

(*usypia*)

SZATAN *zagłada.*

Próżno i próżno! chora, obłąkana,

Modli się, płacze i łzami zalana,

Nie kochanków, lecz ojca i matkę wspomina.

Ó! przekłeta dziewczyna!

Na nic wszystko, i ta dusza —

Ach! i ta do nieba rusza!

ANIOŁ *z góry.*

Ja lecę w noc ciemną,

Sny słodkie przynoszę,

Marzenia i roskosze

Wzlatują przede mną.

Kto tu? To ty szatanie —

Jeszcze tu?

SZATAN.

Tak jest najjaśniejszy panie!

A co gorzej z kiepską miną —

Nie udało się z dziewczyną!

(*drapie się w głowę*)

ANIOŁ.

Widzę, leży nieszczęśliwa,

A błądź twarz jej okrywa,

W piersi westchnienia zamaryły,

Oczy błyszczące, gorzkie łzy pożarły —

Kona nieszczęśliwa,
 I pomocy z nieba wzywa.
 Oto sypię nad twą głową,
 Ostatnie życia rokosze,
 Koronę wspomnień różową
 Na skroń męczeńską przynoszę.
 Śpij dziecię, śpij niewinna,
 Niech cię spokojność dziecinna
 We śnie orzeźwi na chwilę.
 Cierpiałś tyle!

ANIELA *przez sen.*

Widzę, ach widzę mamę, motyl śliczny leci,
 Skrzydłami świeci,
 Drugi różowy,
 A złoty trzeci
 Igra po nad nasze głowy.
 Ach, gdybym miała takie jak on skrzydła,
 Poleciałabym wysoko —
 Wyżej niż myśl, niż oko,
 Bo mi ziemia obrzydła.
 Ach mamę! słowik śpiewa,
 O! tak słodko, tak miło
 Aż się serce wrywa —
 Śpiewem się orzeźwiło,
 Nigdy mi tak nie było!
 Ach! tak chyba śpiewają w niebie aniołowie

I tak im chyba święty z tej ziemi odpowie.

Mamo! usiądź tu na ławie,

A ja poskaczę po trawie,

Braciszki moje i siostrzyczki moje

Mają włoski tak złote! jest ich przy mnie dwoje —

Skrzydła na ramionach mają,

I niemi mnie osłaniają.

I skaczem, skaczem po trawie.

O! mammo! jak ja się bawię!

Gwiazdy iskrzą się w niebiosach,

Świat w perlistych świecei rosach;

Płyną wonie, śpiewy płyną,

Rzeki stanęły i patrzą nam w oczy!

I chmury na niebie gina,

I księżyc z słońcem się toczy,

I nocy nie ma, dnia nie ma —

Ciemność i światło razem —

A świat przed oczyma

Jest tak różowym obrazem!

Mamo! jak mi słodko, miło!

O! tak mi nigdy nie było!!

ANIOŁ.

Śpij w pokoju

I w snów zdroju

Skap duszę twoją stroskana —

Prędko ją wezmą anieli,
 Tam gdzie niebo uweseli,
 Gdzie te sny już nie ustana,
 Gdzie wszystko znajdziesz coś tutaj straciła —
 Miłość i wiarę i matkę i braci!
 Człowiek drogich dla serca istot nie utraci,
 Tylko je naprzód do nieba wysyła,
 By tam czekali na niego.
 Śpij, a ułoża twojego
 Niech pokój skrzydły złotemi
 Rózsieje cichość po ziemi.
 Śpij! niechaj cię ukołysze
 Sen rokoszny, nocne cisze —
 Niech macierzyńską ręką cię obwiną,
 Śpij słodko! biedna dziewczyno!

Kona, skonała szczęśliwa
 I dusza z ust się dobywa!
 Nieść jej aniołom nie trzeba.
 Sama wzięcia do nieba!!

SZATAN.

Już poleciała? poczekacie długo
 Nim złapicie taką drugą!



EPILOG.

CHÓR.

Widziałem duszę poety wielką,
 Leżała u niebios proga,
 I była tylko rosy kropelką,
 Przed oczyma Boga.

Widziałem duszę mędrca niepojętą,
 Leżącą u niebios proga,
 I była perłą na wpół rozciętą
 W oczach Boga.

Krółów i panów dusze widziałem,
 Gdy dumne w niebo leciały,
 Lecz były tylko proszkiem tak małym,
 Jak ich świat z nieba był mały.

Lecz była dusza, dusza kobiety,
 Ta wieniec cierpień niosła u czoła,
 Była większa od duszy mędrca i poety,
 Była tak wielka jak dusza anioła!!

K O N I E C.

P O E Z J E

P O M N I E J S Z E .

W I E Ń C E.

Wiele jest wieńców na świecie,
Dla każdego świat ma wieniec:
W różach chodzi małe dziecko,
W niezapominkach młodzieniec,
Róże z niewinnością żenią,
Róże skroń dziewicy błada
Po ostatni raz ocienia,
Kiedy ją do grobu kładą,
I róże matka w żałobie,
Sadzi na dzieciannym grobie,
Mirt i rozmaryn się składa
Na słodki wieniec weselny,
Ale i z nich liść opada —
I on nie jest nieśmiertelny.

Prędko smutna, łzawa, blada,
 Ujrzy na jego miejscu u spuszczonej głowy,
 Ujrzy dziewica ten wieniec cierniowy,
 Który tylu nieszczęsnych opasuje skronie!

O! ten wieniec najczęściej ludzie ludziom kładna,
 I innych liście zwiędna, wywietrzeją wonie,
 A ciernia kołce nigdy nie opadną!
 I kto ten wieniec boleści raz włożył,
 Choćby mu potem odjęły go lata,
 On nieśmiertelny ślad po sobie złożył,
 I choć go nie ma, a jeszcze ugniata.

Jest jeszcze wieniec — jest wieniec laurowy!
 Lecz ten, wielkie a próżne opasuje głowy,
 Kupują go za złoto — a gdy miną lata,
 Wiater go wieków z trupiej kości zmiata;
 Ten i poetów czasem opasuje skronie —
 Lecz kiedyż go im włożą?

Dopiero po zgonie!

Dadzą laury do trumny, gdy głodem umorzą;
 Dadzą laury, laurami drugą cierń odmienia
 I skryją rany za życia zadane,
 Bo się za nie zarumienia.
 Lecz laur zakrywa, a nie goi ranę —
 Ona pójdzie do nieba, na poety skronie
 Zaniesie ją przed tron Boży —

Tam ją przed jego obliczem odsłoni,
 Tam swój wieniec ciernia złoży.

Jest jeszcze smutny wieniec cyprysowy,

Wieniec żałoby,

Rośnie z nieboszczyków głowy,

I ocienia groby.

A z liścia jego nikt sobie nie plecie

Wianka na tym świecie;

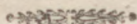
Przyjaciel zmarłych, którzy go nie znali,

I zawsze po nich w żałobie,

Jeśli go wichur obali,

Położy się — na ich grobie.

6. Kwietnia 1836 r.



廻 歌 廻

Widzisz moje życie
Gwiazdę w wód błękiecie,
Widzisz ją oczyma,
A na dnie jej nie ma,
Daleko od ciebie,
Świeci tam na niebie!
Tak w człowieka duszy
Nieraz się odbija,
Co wstrząśnie co wzruszy,
Myśl jakaś, łza czyja.
Co na wierzch upadnie,
A nie ma jej na dnie.
Tak często powieka,
Gdy patrzy w człowieka
Widzi w nim z daleka
Błędniemi oczyma
To, czego w nim nie ma. —
Tak miłość niebieska,
W duszy się odbija —
Tak litości łezka
Na oczy się wzbija,
Choć nie ma ich w duszy,
Choć nie ma ich na dnie.

Lecz — z nieba — upadnie,

Głęboko poruszy.

I tak w niej jest właśnie,

Jak gwiazda w wód toni.

Lecz gwiazda gdy gaśnie,

Nie znajdziesz nic po niej,

Nic w próżnej wód toni!

Bo tamta co z góry

Swym blaskiem ją rodzi,

Zaledwie zachodzi

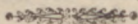
Oślonią ją chmury;

Tej życie wydziera,

A po niej

W wód toni

I obraz umiera.



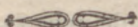
Tak życia łódź płynie —
Z początku łękliwa,
Po morza równinie
Pocichu przepływa.
A słońce jej, wschodzi,
A wiatry ją niosą,
A powiew ją chłodzi,
A niebo ją rosą
Poranną foblewa;
I cicho dokoła,
I łódka wesola,
Od brzegu odpływa.

Tak życia łódź płynie —
W południe skwar pali,
I ustał ruch fali,
I brzeg z oczu ginie.
A wody dokoła,
I modre pustynie;
Nikt na nas nie woła,
Nikt na nas nie skinie.
Znój długi przed nami,

Za nami wspomnienia,
I próżno oczami,
Szukamy spocznienia.

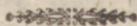
Tak płynie łódź życia —
Już słońce się nurza,
Brzeg widać, a burza
Z chmurnego spowicia
Wychyla się w dali, —
I fale się wzdęły,
I piorun się pali,
I brzegi zniknęły;
A dokoła burza —
Na niebie w wód łonie
I łódka się nurza,
Chyli się — i tonie.

1 Sierpnia 1836 r.



Ludzie lecą po ziemi, jak liście jesieni,
Los ich zbliża, potrąca, łączy i oddala —
Jako dwie gwiazdy błędne na nieba przestrzeni,
Jak krople które zlewa i rozbija fala.

Lecz na wieki się schodzą wszyscy po pogrzebie,
Ciałem w mogile, a duszami w niebie.



PANNA BARBARA!

Hej mosanie,
 Ten dostanie
 Rękę mojej córki,
 Kto na przedzie
 W boju jedzie,
 Na Niemce i Turki.
 Kto nie słowy,
 Nie wdziękami —
 Panicz jakiś migdałowy,
 Uludzi, omami;
 Lecz kto rąbie, pali, siecze,
 A nie wzdycha,
 Ten kto z pola nie uciecze,
 I dostoi do kielicha!
 Pan! brat mosanie,
 Tylko dostanie
 Rękę mej Basi.
 Niech porwą diabli,
 Tchórzów do szabli,
 To nie są bracia nasi.
 Tak mówi szlachcic, kręcąc wąs do ucha,
 A w kącie stoi ktoś młody i słucha,

I cicho wzdycha —
Bo wojny serce jego nie pożąda,
 Usta nie cierpią klelicha,
 A jednak oko ogląda,
 I serce za Basią wzdycha,
Wie on, że co się w siwój raz wyleże głowie,
 Co raz usnuje i powie,
 Tego nawet czasu ramie
 Nie przemieni, nie przełamie.

A więc na koń! w imie Boże,
 Gdy inaczej być nie może;
 Jedź, bij się, a wracaj skoro!
 Nie wszystkich Turcy zabiją,
 Nie wszystkich w jassyr zabiorą,
 Są, co wrócili i żyją —
 Sprzyjaj mu Panno Maryjo!

Jedzie, wzdycha, szabla cięży,
A w obozie! co za życie!
 Wołałby był pośród księży
 Ciężko pracować w habicie,
 I znieść upokorzenia, znoje,
 Niżeli jechać mimo chęci
Wpośród ostrych szabli dźwięku,
 I miłość mając w pamięci,
 Śmierć tylko nosić na rękę! —

Lecz cóż robić! to dla Basi.
 I oto w kotły już bija,
 I do szturm idą nasi —
 O! strzeż go Panno Maryo!
Poszedł — dobrze się udało,
 Z nieśmiertelną wrócił chwała,
 Tylko jedną stracił nogę
 I o kuli rusza w drogę.

Do domu! serce mu bije —
 Widać dom Basi z daleka —
 Modli się biedny kaleka,
 I słodkie wspomnienia pije —
 Ach! czy szczęśliwi? czy żyją?
 Pociesz go Panno Maryjo!

Idzie — tak ludno we dworze,
 W dziedzińcu konie, landary,
 Muzyka — cóż to być może?
 — Wesele panny Barbary —



Noc nade mna,
 Wkoło ciemno,
 Nic nie słyszę —
 Tylko zdala
 Szumi fala,
 Wicher dysze.

Księżyc się coraz oddala,
 Na białych chmurach kołysze,
 I zniknął i znowu świeci,
 A w około jego dzieci —

Chmury lecą,
 Gwiazdy świecą!

Noc nade mna,
 Wkoło ciemno,
 Nic nie słyhać.

Teraz oczy łzom otworzę,
 Nikt zobaczyć mnie nie może.
 Będę płakać, będę wzdychać!

Kto łzę widzi,
 Żal zobaczy —
 Ze łzów szydzi,
 Ból tłómaczy,
 I popłami
 Mi myślami

Moje czyste łzy i żale —

W dzień się śmieje,

Ale w nocy — poufale —

Ciężko cierpię i łzy leję.

Wszakże ludzi,

Łza nie zbudzi

A wśród ciszy,

Zapomnienia,

Nikt nie słyszy

I westchnienia.

Nocy moja! pływ powoli,

Świećcie gwiazdy, śpij mój świecie,

Bo mi jeszcze ciężar guciecie

Pierś znękaną.

A gdy ludzi

Dzień obudzi,

Oni uragać mi wstana!

Nocy moja! pływ powoli,

Pływ nademną —

We dnie gorzej serce boli,

Gorzej z boleścią tajemną

Walczyć dnie długie, bez końca,

I wyglądać

I pożądać

Zachodu słońca!



L A I S.

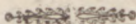
Lubię ucztę, gdzie w wieńcu świeżych róż na skroni,
 Z piękną Lais u boku i puharem w dłoni,
 Na miękkim puchu leżąc u wielkiego stoła,
 Z pieśnią na ustach, drużyną dokoła,
 Śpiewy, śmiechy, zapachy wlatują nad nami,
 Dusze nasze na ustach, a świat pod nogami!
 Czas—my się śmiejęm z niego; śmierć!—myjój wołamy,
 By z roskoszy do szczęścia otworzyły bramy.

I ucztła huczy i wirem się kręci—

I nie ma smutku bo nie ma pamięci!

O roskosze, o Lais przy twój piersi białej,
 Całe życie bym przespał, przemarzył, przedrzymał,
 Byle twe oczy zawsze tak jasno pałały,
 Byle twój uścisk śnieżny przy sercu mnie trzymał,
 Byle ustami w ustach zląwszy dusze nasze,
 Zawszem miał ciebie, zawsze pełną czasę.
 Tak, pełną — bo gdy nektar złoty wyschnie na dnie,
 O Lais! nasze szczęście z nim razem upadnie,
 Serca się nasze ścisną i dusze pomrożą —
 I uścisk się rozwiąże i z oczyma w ziemi
 Będziem wstydzic się siebie — I ty nie tak hożą
 I ja nie ten sam stanę przed oczyma twemi.

Noc i puhar, to szczęście. I cóż jest na ziemi,
 Coby piękném przy blasku słońca się wydało ?
 My potrzebujem uocy i z wdziękami swemi,
 I żeby się nie wstydząc, być szczęśliwym śmiało.
 Lais — zgaśmy tę lampę, gdy światło jój skona,
 Ty mnie mocno — o! mocno przyciśnij do łona,
 Tak żebym już nie słyszał ni biesiady szumu,
 Ni ich pieśni, ni ich gwarów,
 Ani dźwięku ich puharów —
 Tak, żebym resztę utracił rozumu,
 Żebym był choć raz przecie szczęśliwy jak zwierze,
 I nie miał żadnej z tych okropnych myśli,
 Która przyjdzie w rokosz y i rokosz zabierze —
 Zgaś, zgaś lampę — oh



PRZYJACIELE.

Świat wasz jest zimny, serca wasze chłodne,
A dłoń ściśnięta, moi przyjaciele.

Jam smutny — wasze oblicza pogodne;

Nie ma przyjaźni a was jest tak wiele!

Gdy cieszę w smutku, pomagam w potrzebie

I sercem z wami się dzielę,

Przyjmiecie wszystko, przyjmiecie dla siebie;

Dziś, gdzie jest przyjaźń, moi przyjaciele?

Czekam jej! czekam, choć pocięchy trocha.

I tej nie znajdę — a was jest tak wiele!

A każdy przysiągł że tak mocno kocha —

Nie ma przyjaźni moi przyjaciele!

1 Grudnia 1836.

D.

AZAOAD.

Nad głową stół zapalone słońce,
 A pod nogami wrą piaski gorące,
 I niebo wkoło czyste i czerwone
 I pustynia w każdą stronę.

Poszlesz wzrok — wzrok twój nie wróci do ciebie,
 Szlesz myśli — myśli daleko gdzieś zginą,
 I nie nie widać prócz słońca na niebie,
 Co gorzej pali za każdą godziną,
 I nie prócz piasku w którym nogi toną,
 Który wiatr niesie do piersi ze tchnieniem,
 A nigdzie źródła z palmą pochyłoną,
 Nigdzie się wzrok twój nie zwilży strumieniem,
 Nigdzie oazy, gdziebyś pot u czoła
 Otarł i usiadł odpocząć przez chwilę.
 Piaski i piaski i piaski wokoło,
 I cicho jako na wielkiej mogile,
 Coby pokryła wszystkie ludy świata,
 Nad którą ży by nie było lać komu —

Nad którą długie przepłynęły lata,
 A z ludzi tłumów i czasów ogromu
 Zostałby piasek którym wiatr pomiata.
 Bo nigdzie palmy, nigdzie dla ochłody
 Cienia drzew ni kropli wody.

Na tym szerokim piasków oceanie;
 Szło raz dwóch ludzi, wolnym, ociążałym krokiem,
 Co raz to który odpoczywać stanie,
 Co raz to rzuci niespokojnym okiem;
 Iecz dla spoczynku, ochłody,
 Nigdzie palmy, nigdzie wody!

I tak szli z przeciwnej strony,
 I tak szli długo do siebie,
 A słońce krąg swój czerwony
 Wolno toczyło po niebie,
 I dzień szedł zółwio, powoli,
 Jak zwykle idzie gdy człowieka
 Ciało albo dusza boli —
 Szczęśliwym tylko ucieka!

Szli, stanęli przeciw siebie,
 Ale się nie powitali,
 Tylko spojrzeli po niebie
 I obadwaj zapłakali,

Ale słońce tży spaliło —
 Gorzały w sercu, na oczach nie było.

Jeden z nich, kupiec bogaty,
 Zabłądził od karawany,
 I w bogate strojny szaty,
 I zawoj miał wyszywany —

Drugi wychudły, ubogi,
 Miał tylko czarne łachmany,
 Ale w rękę niósł skarb drogi —
 Była to czara niewielka,
 Na dnie jój — wody kropelka.

Obu pragnienie paliło,
 A nigdzie, nigdzie ochłody,
 Nigdzie oazy nie było,
 Ani palmy, ani wody!

Stanęli na przeciw siebie
 I długo milcząc patrzali,
 Potém spojrzeli po niebie —
 I stali i nie szli dalej —
 Żeby w pustyni szerokiój
 Razem umarli przy sobie,
 I piasku tuman głęboki
 W jednym zasypał ich grobie.

— Nędzarzu, wyrzekł po chwili,
Kupiec spójrząwszy na czarę.

Ty masz wodę, zrób ofiarę,
Daj mi pić, będziemy pili!

— O nie! rzekł nędzarz z uśmiechem,

Ja sam tę wodę wypiję,

Bo ogień wciągam z oddechem

I tylko nadzieją żyję,

Że gdy mię siły odbiegą,

Jeszcze się wodą ocucę,

Dójdę do namiotu mego,

Do swoich jeszcze powrócę.

— Ach! i ja ogień mam w sobie,

Podziel się ze mną; rzekł drugi.

Będę pamiętał o tobie

I nie zapomnę usługi,

I za tę wody kropelkę,

Dam ci dom, żonę i sługi,

Skarby mnogie, szczęście wielkie!

— Ja nie chcę! nie chcę! rzekł drugi.

— Jako nie? kupiec zawoła,

Na skarby nie zmienisz nędzy?

Patrz oto kiesa pieniędzy,

Oto zawoj zrzucam z czoła,
 W nim druga kiesa ukryta;
 Chcesz większej jeszcze nagrody?
 Oto trzos mój ostatni, najdroższy, jedyny.
 Wszystko za kropelkę wody!

A nędzarz spojrział, na złoto, rubiny,
 Perły i drogie kamienie —
 I z ust nadzieja spędziła pragnienie,
 Porwał za skarby, a czarę podaje.
 Kupiec chciwemi chwycił ją rękami,
 Chwycił i wypił i wody niestaje,

On jeszcze wrósł w nią ustami—

Pije i jeszcze pożąda,

A pożar w piersiach roztlili się na nowo,
 A słońce pali nad odkrytą głową,
 A śmierć mu w oczy zagląda.

Nędzarz chciał biec, lecz upadł omdlały,
 Spojrział na skarby, do piersi przycisnął,
 A w oczach rajskie obrazy stawały
 I świat mu złoty zabłysnął.

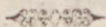
Potém mu piasek przysypał na wieki
 Usta spalone i drżące powieki.

A kupiec przy nim skonał z czarą w ręku —

I nikt nie słyszał ich jęku.

Piasek i wicher z sobą ich porwali
 I w pustyni zakopali.
 Aż we dni kilka zbląkana,
 Znalazła ich karawana.
 Złoto pielgrzymi zabrali,
 Sępy ciała rozszarpali.

Nież to razy człowiek za nadzieję płaci;
 Czego pragnął nie wezmie — i co miał utraci.



+ J. S.

BŁOGO W GROBIE.*D. 4 Marca 1836 roku.*

Błogo tobie,
 Leżysz w grobie,
 A ja żyję!
 Tobie życie się prześniło,
 Odpoczywasz pod mogiłą,
 A mnie jeszcze serce bije!
 Błogo tobie,
 Jam w żałobie
 I na świecie!
 Ty w róż wieńcu śpisz w mogile,
 Tobie cicho płyną chwile,
 A mnie ciężar życia gniecie!
 Błogo, błogo!
 Tamtą drogą
 Pójść smętną!
 Tam nas druby odprowadzą,
 Pożegnanie słodkie dadzą,
 Piaskiem powieki zagarną.

O jak mile
 Spać w mogile
 Długie lata.
 I w śmierci białém spowiciu
 Zapominać o tém życiu!
 Zapominać tego świata!
 Cicho, ciemno!
 A nade mną,
 Gwiazdy lecą!
 A powieki śpią zawarte,
 Trumny wieko śpi uparte,
 Czy słońce czy gwiazdy świecą.
 Cicho, głucho,
 Oko — ucho,
 Nic nie zbudzi
 Nie ma świata, nie ma dźwięku,
 Nie ma pieśni, ani jęku,
 Co najlepšíj — nie ma ludzi!
 Nieme usta
 I piersć pusta
 Już nie bije.
 Świat się kręci, cierpi, szumić,
 A grób świata nie rozumieć,
 Bo grób śpi, a wasz świat żyje,

Za cóż życie

Tak cenicie,

Tę garść kału!

W której rzadko kamień drogi

Znajdzie przechodzień ubogi.

Wśród czarnych brudów nawału?

Chodźcie ze mną,

W grobie ciemno,

Cicho, głucho,

Lecz nikt za to nie obudzi,

Nie ma światła, nie ma ludzi,

Martwa pierś, oko i ucho!

5 Kwietnia 1836.



Dziecięciu.

Łzami świat witać, świat pożegnać łzami,

Dwie chwile tylko przeplakać na świecie.

Tęskniąc za niebem i za aniołami —

To był los twój, moje dziecię!

Z krótkiego życia idziesz na długi sen w grobie,

I od pociechy z tobą, dłuższy żal po tobie!..

1837 r.

